

B.D.I.C

„ORZEŁ BIAŁY“
(White Eagle)
(L'Aigle Blanc)
Décembre 1967



SYRENA

ORZEŁ BIAŁY

GRUDZIEŃ

1967

Nr 41/1188

Cena 3/6
\$ 0.50; 2.50 F.

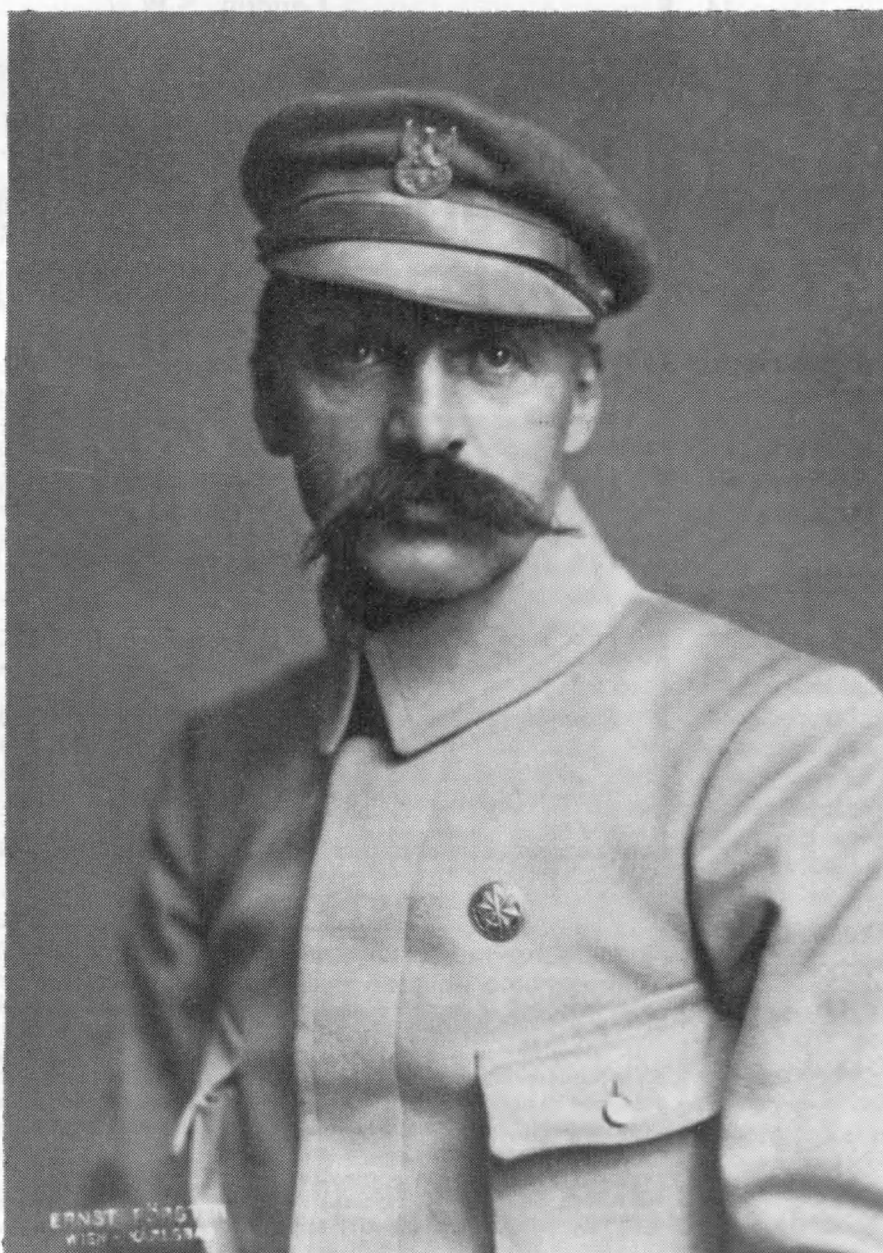
Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM



SETNA ROCZNICA URODZIN

Józefa Piłsudskiego



ERNST F. ...
WIELE ...

FP 2156

W NUMERZE :

<i>Ks. J. Mirewicz</i> : Święto godności ludzkiej	1
<i>T. Alf-Tarczyński</i> : Twórca	3
<i>S. Benedykt</i> : Żołnierze Piłsudskiego	4
<i>K. Glabisz</i> : Także w służbie najtrudniejszy jest początek	9
<i>K. F. Vincenz</i> : Obchód 150-tej rocznicy śmierci Tadeusza Kościuszki	11
<i>T. Podgórski</i> : Jedna ręka daje druga odbiera	12
<i>K. Brzozowska</i> : Trudne życie Pani Marii	14
<i>J. Pększyc</i> : Drzewiej	16
<i>M. Tomkiewicz</i> : Straszny teatr w strasznym świetle	19
<i>M. Wilczewska</i> : Z Kazachsta- nu do domu	20
KONKURS „ORLA BIAŁEGO“ <i>„Romuald“</i> : Listy do matki	22
<i>„Kapitan Maria“</i> : Łódka	24
<i>H. Jankowska</i> : Magia albumów historycznych	26
<i>Kage</i> : Kronika wojskowa	27
<i>J. Ostr.</i> : Notatnik kulturalny	28
<i>S. Legeżyński</i> : Ilnicki i Siudmak	29
<i>Z. Grabowski</i> : Poeta patrzy na Amerykę	30
<i>Dr Michał</i> : Medycyna w staro- żytnym Egipcie	31
<i>F. Golschlag</i> : O grupach krwi i ich znaczeniu	32
Z życia polskiego	34
<i>A. Bogustawska</i> : Ockendon schronienie dzieci uchodźców	35
<i>K. E.</i> : Przeważnie dla Pań	36
<i>Klara Evans</i> : Fabryka pachnących snów	38
<i>P. Zaremba</i> : Śp. Władysław Kowalewski	39
Książki nadesłane	40

W ROKU 1967 NASTĘPUJĄCY
AUTORZY ZAMIEŚCILI SWOJE PRA-
SE W „ORLE BIAŁYM“:

T. Alf-Tarczyński, Wł. Anders, S. Be-
nedykt, W.Z. Bieńkowski, S. Błaszczak,
K. Brzozowska, St. Bystrzycka, J. Chi-
lecki, W. Chocianowicz, J. Czapski, M.
Czuchowski, A. Czułowski, A.J. Dąbro-
wski, C. Dobek, W. Donigiewicz, Klara
Evans, R. Fajans, K. Glabisz, F. Gold-
schlag, Zofia Grabowska, Z. Grabowski,
W. Günther, F. Hądzel, P. Hęciak, H.
Jankowska, C. Jeśman, Zofia Junosza,
M. Kałuski, L. Koczy, A. Kozieł-Po-
kiewska, S. Legeżyński, W. Lewandow-

ski, M.C. Leśniakowa, B.T. Lisiecki,
T. Lisiewiczówna, R.A. Łubiński-Went-
worth, C. Maresz, S. Mękowski, Dr. Mi-
chał, A. Milker, A. Moroz, W. Netter,
T. Norwid, W. Opolski, J. Orłowska,
J. Ostrowski, M. Paszkiewicz, J. Pęk-
szyc, S. Piekut, J. Pieper, J. Płoski,
T. Podgórski, Rawicz, K. Schleyen,
Z. Stahl, A. Stambrowski, W. Stefański,
T.Z. Sychowska-Czalińska, J. Tokarski,
Mina Tomkiewicz, K. Trębicki, K. Z.
Vincenz, J. Walewski, M. Wilczewska,
W. Witrylak, S. Wóycicki, Z.L. Zaleski,
P. Zaremba, K. Zelenko, J. Żaba, J.
Zmigrodzki.

KSIĘGARNIA S. P. K.

20, Queens Gate Terrace,
London, S.W. 7.

Skład główny wydawnictw Polskiego Instytutu Historycznego

★

POLSKIE SIŁY ZBROJNE W DRUGIEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ

<i>Tom I cz. 1</i> — Kampania wrześniowa 1939. Polityczne i wojskowe położenie Polski przed wojną.	30s
<i>Tom I cz. 2</i> — Kampania wrześniowa 1939. Przebieg działań, 1—8 wrzesień.	42/6
<i>Tom I cz. 3</i> — Kampania wrześniowa 1939. Okres trze- ci kampanii, 9—14 wrzesień.	50s
<i>Tom I cz. 5</i> — Kampania wrześniowa 1939. Marynarka wojenna i obrona polskiego wybrzeża.	30s
<i>Tom II cz. 1</i> — Kampania na obczyźnie. Wrzesień 1939 — czerwiec 1941.	35s
<i>Tom III</i> — Armia Krajowa.	52/6

LISTY DO REDAKCJI

O ŻYCZENIA DLA ZAŁOGI OKRĘTU PODWODNEGO „CASIMIR PULASKI“

Szanowny Panie Redaktorze,

W ubiegłym roku przed świętami Bo-
żego Narodzenia z inicjatywy Oddziału b.
Żołnierzy Armii Krajowej na wschodnią
Pensylwanię, USA, wysłany został apel
do wolnej prasy polskiej, oraz organizacji
kombatanckich z prośbą o wysyłanie sym-
bolicznych podarków i życzeń świątecz-
nych dla załogi amerykańskiej łodzi pod-

wodnej „Casimir Pulaski“, dając przez to
dowód naszej pamięci i dumy o Polaku,
który oddał swe życie w walce o wolność
Ameryki. Do naszych życzeń dołączyliśmy
książkę „Death In The Forest“ prof. J.
K. Zadroznego, ryngraf Matki Boskiej Czę-
stochowskiej, oraz znaczek wydany przez
nasz Oddział z okazji Tysiąclecia Polski
Chrześcijańskiej.

(Dokończenie na przedostatniej
stronie okładki)



KS. JERZY MIREWICZ

ŚWIĘTO GODNOŚCI LUDZKIEJ

WEDŁUG legendy średniowiecznej nie wszyscy pasterze, po złożeniu holdu Chrystusowi, wrócili z Betlejem. Jeden z nich pozostał tam na zawsze. A gdy go pytano, dlaczego później nie towarzyszył Mesjaszowi, by słuchać jego nauk i widzieć cuda przezeń działywane, odpowiadał, że w ową noc wypełnioną śpiewem anielskim nauczył się najważniejszej prawdy i oglądał cud najwspanialszy: uczenie godności ludzkiej przez Boga. I jak kiedyś patriarcha Jakub miejsce objawienia mu się Chawały Bożej oraz obietnicy błogostawieństwa dla jego rodu naznaczył ciężkim głazem, tak i on, pasterz, swoją tutaj obecnością pragnie świadczyć o niezniszczalnej wartości stworzenia, któremu na imię — człowiek. Dla niego bowiem w tej stajni narodził się Jezus Chrystus.

Tyle legenda. Anonimowy jej autor musiał długo — może przez całe życie — rozpamiętywać tę jedną tajemnicę Wcielenia, żeby z niej wynieść nie sielankowy obraz stajenki betlejemskiej, nie rozczulanie się nad niedolą Dziecka w żłobie, lecz głębszą myśl o własnym człowieczeństwie. Jego więc opowieść trzeba dołączyć do wszystkich traktatów filozoficznych i teologicznych zajmujących się zagadnieniem człowieka. A nawet wypadato by ją nazwać jedną z tych gwiazd, które wskazują umysłowi ludzkiemu drogę do najważniejszego faktu w historii — do zjawienia się Słowa Odwiecznego w czasie i przestrzeni.

Jest to fakt tak ważny, że nawet ci, którzy pragną i usiłują przerobić go w mit lub legendę, muszą się przy nim zatrzymać. Ich bowiem interpretacjom przekazu ewangelicznego zabiega zawsze drogę powtarzane nieprzerwanie przez dwadzieścia wieków twierdzenie, zbierane z kart Ewangelii wiedzą i wiarą, że szansę ratunku przyniósł ludzkości Chrystus — prawdziwy Bóg i prawdziwy Człowiek. Niewierzący zmuszeni są więc przyjąć przynajmniej to twierdzenie jako fakt historyczny i uznać, że w dzieje myśli ludzkiej i w różnorodność tłumaczeń losów człowieczych wprowadzona została wizja Zbawiciela, Stwórcy wszechświata, który poddał się, jako człowiek, prawom obowiązującym stworzenia. Wolno im nazwać to absurdem i odrzucić w imię wyznawanej przez nich autonomii intelektu nie potrzebującego żadnej pomocy z zewnątrz, by nadać sens własnemu istnieniu i działaniu. Nie mogą jednak zaprzeczyć, że są umysły znajdujące w tajemnicy Wcielenia nie tylko usensownienie swoich dróg życiowych, lecz i tytuł swej wielkiej godności.

Tajemnica ta głoszona i proponowana na progu ery chrześcijańskiej ludziom wychowanym w kulturze grecko-rzymskiej, olśniła tych, którzy czekali na radykalne otrząśnięcie pojęć o Bogu i człowieku z wszelkich mitów. Platon kazat Sokratesowi marzyć o tej chwili, kiedy on, nazwany przez wyrocznień delficką najmądrzejszym człowiekiem, odnajdzie swoją

prawdziwą wartość i nie będzie już targany niepewnością, czy jest bogom podobny, czy jedynie przysługuje mu nazwa Tyfona — stugłowego potwora. Chodziło tutaj po prostu o uchwycenie definicji osoby ludzkiej. Wymykała się ta definicja dociekaniom filozofów pogańskich. Niepowodzenie ich tłumaczył Kierkegaard brakiem pojęcia grzechu w ich systemie myślenia oraz niedorastaniem do „paradoksu Wcielenia“. Znali metamorfozy, czuli zacieranie granic między istotami. Znali także pychę (hybris), czyli bunt przeciwko losowi. Ale to właśnie zaciemniało im prawdziwy obraz rzeczywistości. Wyjaśnienie przyniosła nauka chrześcijańska, przywracająca właściwe imiona rzeczom i hierarchizująca wszelkie wartości.

Zaimponowała ona uczciwie myślącym żydom i poganom. Musimy bowiem pamiętać, że Dobra Nowina nie była głoszona i przyjmowana w atmosferze jakiegoś religijnego entuzjazmu, który wyłączałby poprawne procesy logiczne oraz świadomy wybór postawy wobec opowieści o zbawieniu. Krzywdę pierwszym wyznawcom Chrystusa wyrządzają ci, którzy na ich realizowanie trudnych zasad Ewangelii z radością i z gotowością poniesienia wszelkich konsekwencji patrzą jak na rezygnację z wartości tkwiących w naturze człowieka i rozkwitających jego osobowości. Chrześcijanin walczył o te wartości. Dla

(Dokończenie na str. 2)



niego idea zbawienia nie zamykała się — jak to wielu dzisiaj powszechnie sądzi — w mglistym obrazie szczęścia pozagrobowego, lecz była ideą-siłą przekształcającą i władającą go według wzoru Chrystusa Człowieka. W naszej obecnej cywilizacji brzmi to jak zacichająca, niemodna, oderwana od życia teoria ascetyczna, pozostawiona tak zwanym uciekinierom ze świata w klasztornej spokój. W brzasku chrześcijaństwa teoria ta była na serio traktowana jako szkoła prawdziwego człowieczeństwa. W więzieniu, na arenie męczeńskiej, w ziemi wygnania, w kopalniach srebra i miedzi dawali chrześcijanie świadectwo wiary nie tylko w zbawcze posłannictwo Mistrza z Nazaretu, lecz i w istotną godność i wielkość człowieka. Mógł więc — według starych kronik — męczennik prowadzony Drogą Appijską na ścięcie tak przemawiać do towarzyszącego mu kata: „Widzisz, bracie, chociaż twój miecz jest bardzo ostry, tak że jednym cięciem zdejmiesz mi głowę z karku, to jednak nie potrafisz przeciąć nim więzi, jaka nas na zawsze łączy: braćmi jesteśmy w Chrystusie Jezusie. A to jest wielki honor dla ciebie i dla mnie“. Nie jest ważne, czy te słowa były rzeczywiście wypowiedziane, czy też przez kronikarza zmyślone dla udramatyzowania opisu męczeństwa. Ważne jest to, że w owych dniach zapatrzenie się w Tajemnicę Wcielenia odkrywało prawdę o podstawowej godności każdego człowieka, bez względu na to,

czy był katem, czy ofiarą. Chrześcijanie miszcza się nie bali, drżeli tylko przed mitami, w których bohater bywał ubóstwiany lub spychany do rzędu zwierząt. To oni byli realistami stróżującymi przy granicy człowieczeństwa, by jej nie zacierali marzyciele, twórcy utopii, pesymiści, wyznawcy teorii o nadludziach, rasiści i ci, którzy w człowieku widzą tylko „element produkcyjny“.

Te pojęcia wprowadzają nas w czasy obecne, w „czasy pogardy“ dla osoby ludzkiej. Odbierano jej wszelkie prawa w obozach koncentracyjnych i w łagrach na Syberii. Ale zanim do tego doszło krzywdzono ją w nauce i literaturze, w filozofii, socjologii i w systemach ekonomicznych, w sztuce i w polityce. Ile razy bowiem wybucha masowe wyniszczenie konkretnych żywych ludzi, to możemy powiedzieć, że przedtem mordowano prawdziwe pojęcie człowieka. Myśl, względnie deprawacja myśli, poprzedza zawsze czyn. Jest więc coś faryzejskiego w oburzaniu się na widok zbrodni ludobójstwa, gdy uprawia się lub wyznaje filozofię, której zasady konsekwentnie realizowane w konkretnie muszą kończyć się zbrodnią. Między twierdzeniem, że „człowiek jest rzeczywistością zbyteczną w harmonijnym układzie wszechświata i ten układ jest przez niego właśnie psuty“, a podpisywaniem protestu przeciwko wojnie w Wietnamie leży chyba tylko pogarda dla logiki, dla wszechświata

i dla człowieka. I gdy wybitny biolog głosi: „Ludzkość jest chorobą ziemi. Na zdrowych planetach nie ma ludzi“, to widocznie nie zadał sobie trudu przewidywania, w jak strasznej formie te jego słowa mogą się obrócić przeciwko ludzkości.

Czy takie refleksje wypada snuć przy wspomnianiu wydarzenia, które dwadzieścia wieków temu opromieniło Betlejem i całą historię? Czy mogą one kogokolwiek podnieść na duchu? — przecież dzisiaj bardzo tego potrzebujemy. Czy więc nie lepiej oderwać myśl od tak filozoficznie pomowanych losów człowieka w obecnym świecie i wypełnić ją świętecznym nastrojem zbudowanym z opłatka, drzewka, wigilii, pasterki i życzeń nie wybiegających zbyt daleko poza krąg naszych możliwości? Oczywiście trzeba szanować święteczny nastrój. Ale przecież i w nim powinno znaleźć się miejsce na jedno przynajmniej pytanie: czy pamiętamy, że dwa tysiące lat temu, w Betlejem, rozgrywała się sprawa nasza, istotna i bardzo osobista — sprawa naszej godności ludzkiej? Jeżeli na to pytanie w gospodzie naszych myśli, wrzeń, przeżyć i pragnień miejsca zabraknie, to czym są właściwie w oczach naszych święta Bożego Narodzenia?

Jeżeli tylko legendą, to niech w niej się zjawi pasterz, który przez całe życie w Betlejem rozważał problem człowieka.

Ks. Jerzy Mirewicz



CZYTELNIKOM I PRZYJACIOŁOM „ORLA BIAŁEGO“ SERDECZNE
ŻYCZENIA W NADCHODZĄCE ŚWIĘTO NARODZENIA PAŃSKIEGO

przesyła

REDAKCJA



JÓZEF
PIŁSUDSKI
W WIEKU
MŁODZIĘNCZYM

ŻEROMSKI w swym dramacie „Sułkowski“ daje wizję wodza, któremu stawia nie byle jakie zadanie. Każę mu „zdobyć ojczyznę“. Wyobraźnia artysty stworzyła postać, natchnienie podyktowało jego słowa.

Sułkowski mówi o sobie: „Lecz moja wielkość musi być przede wszystkim w mym sercu zdobyta, wyszarpana siłą z nicości, szpadą wzięta w zawziętym trudzie, Skoro zdobędę moją własną wysokość własną mocą, wówczas dopiero własną mocą zdobędę ojczyznę. Bo ja w każdej minucie mego życia zdobywam i tworzę ojczyznę. I zawsze czuję tak, jakby się we mnie z samym sobą mocował cały naród polski. Muszę nasamprzód stworzyć za cały naród własną moją wolę

niezlomną i dopiero potem narzucić ją zewnętrznemu światu“.

Gdy się czyta te słowa, gdy się wslucha w ich patos, przywodzący na pamięć dalekie echa obu Konradów, — tego z „Wielkiej Improwizacji“ i tego z „Wyzwolenia“, odnosi się wrażenie, że wyobraźnia, że fantazja poniosła artystę, że człowiek, który mówi te słowa, nie może być człowiekiem z krwi i kości, że jest tylko postacią ze sceny, że to co mówi, to są słowa jakiejś wielkiej roli.

A przecie, gdy Żeromski w 1910 roku stwarzał tę swą wizję sceniczną, żył wśród nas człowiek, który każde zdanie, każde słowo Sułkowskiego z dramatu, pisał swoim własnym życiem — Józef Piłsudski.

On zdobywał swą wielkość przede

wszystkim w swym sercu. Zdobywał swoją wielkość już jako kilkuletni chłopiec, gdy matce opowiadającej mu o bohaterach powstań, przysięgał że będzie bohaterem. Potem jako uczeń znienawidzonego rosyjskiego, wileńskiego gimnazjum — trzynastoletni autor niedokończonej powieści o „Białych Strzelcach“. Zdobywał swoją wielkość w konspiracji rewolucyjnej młodzieży, aż wreszcie zdobył ją w swym sercu na szlakach sybirskiego wygnania.

Tam w jego sercu dojrzała już za cały naród jego własna niezłomna wola walki o Polskę. Tam zdobył swoją własną wysokość i będąc już świadom swjej siły, stał się jednocześnie świadom swego posłannictwa przewodzenia tej walce. Brać Polskę szpadą i narzucić ją zewnętrznemu światu.

Bo czymże była Polska, gdy on ją w męce w swoim sercu wyszarpał... Była niewolnicą, posłuszną sługą swych panów — więc się mocował z niewolnictwem i służalstwem. Była słabą, więc się mocował w nieustępliwym trudzie i znoju z tym, co ją słabą czyniło, aż ją w swym sercu zdobył wielką i promienną i taką ją narzucał swym towarzyszom, swym żołnierzom, swym rodakom.

Aż wreszcie w listopadzie 1918 roku narzucił jako Naczelnik Państwa niepodległą Polskę „zewnętrznemu światu“, a jako Wódz Naczelny, swym zwycięstwem zapewnił jej granice.

Gdy powtarzam słowa bohatera dramatu Żeromskiego, narzucają się mej pamięci słowa nie ze sceny, nie podpowiadane z budki suflera, ale te, które moje pokolenie słyszało z ust Józefa Piłsudskiego.

Gdy mówił: „żyłem życiem, w którym nerwy ludzkie przyzwyczajają się do wiecznego ruchu, do codziennej i koniecznej przemiany siebie w coraz to nowy instrument walki“, to mówił o swej walce na stronach „Robotnika“, o Organizacji Bojowej PPS, o Placu Grzybowskiem. Gdy przygotowywał akcję bezdań-

(Dokończenie na str. 4)

„Choć nie w ułańskim amarancie,
Choć nie na warcie w Belwederze,
Otośmy wszyscy Komendancie
Twoi żołnierze!“

STEFAN BENEDYKT

ŻOŁNIERZE

To ostatnia strofka pięknego wiersza, napisanego w roku 1940-ym, we Francji, tuż po klęsce wrześniowej i w obliczu jeszcze trudniejszej do zrozumienia, zupełnej klęski potężnej Francji.

Autorem tego „Wiersza do młodszego Brata“ jest Jerzy Paczkowski, świetnie zapowiadający się młody poeta i pisarz, który w tej tak tragicznej chwili wstępuje do szeregów i jako podchorąż-



ską, pisał: „Nie rozpacz, nie poświęcenie mną kieruje, a chęć zwycięstwa, przygotowania zwycięstwa.“ Zaiście, w każdej minucie swego życia zdobywał i tworzył ojczyznę. Przemieniał się w nowy instrument walki, gdyż przewidując wojnę między zaborcami, tworzył kadry wojska polskiego, bo nie dopuszczał myśli o bierności.

I w tym momencie stał się wodzem, który „musi, czy chce, czy nie chce, być czym innym niż ci, którym przewodzi“. Obowiązkiem zaś wodza „jest za wszystkich robić rachunek..., rachunek, do którego długo się przygotowywałem“.

I jako wódz pisał: „Nie chciałem pozwolić, by w czasie, gdy na żywym ciele naszej Ojczyzny miano wyrąbać mieczami nowe granice państw i narodów, samych tylko Polaków przy tym brakowało. Nie chciałem dopuścić, by na szalach losów, ważących się nad naszymi głowami, na szalach, na które miecz rzucono, zabrakło szabli polskiej“.

Tak mógł mówić człowiek świadom swego przeznaczenia. Mówił zaś o sobie: „Bóg zaszczerpił w moje łono elementy siły i mocy nakazu, co posłuch wzbudzać umie... Nie chciałem być niewolnikiem, szukałem swobody i dla tej swobody mocy szukałem. Nienawidziłem zawsze słabości, którą upiększać się chce pustymi dźwiękami bez treści“.

I stało się, że ta szabla, którą rzucił na szale losów, szabla Legionów, po raz pierwszy od stu lat na cały świat zadźwięczała słowem: niepodległość. A słowo to stało się rzeczywistością po magdeburkim więzieniu, które było ostatnim instrumentem walki Józefa Piłsudskiego o wolną Polskę.

T. Alf-Tarczyński

ży piechoty bije się dzielnie w 1 Dywizji Grenadierów, a następnie w podziemiu we Francji.

To nie wizja poetycka, to wyczucie żołnierzy, którzy pozbawieni nagle ojczyzny i własnego państwa, gdy — jak określili to publicysta z przeciwnego obozu Jan Rembieniński: „... znowu gdzieś w „stolicy emigranckiej“ w Paryżu uczucia te mogły przybrać formy partyjnych porachunków, załatwienia grupowych lub nawet osobistych czysto pretensji czy uraz“... „w wojsku było inaczej“ zdaniem jego.

Wojsko nawiązało do wielkiej tradycji, przekazanej przez tych, którzy z krakowskich Oleandrów — pierwsi przestąpili granicę rosyjskiego zaboru „jako czołowa kolumna wojska polskiego, idącego walczyć za oswobodzenie ojczyzny“ — by zacytować słowa z pierwszego po tylu latach wojskowego rozkazu, rozkazu Józefa Piłsudskiego.

Właściwie należałoby wspomnieć i sięgnąć — szczególnie dziś, w stulecie urodzin — do jeszcze wcześniejszej epoki, do żołnierzy „Bojówki“ i tych, którzy nie mieli jeszcze szczęścia walki w szeregach, walki w mundurze żołnierza polskiego.

Poetyzując tę epokę w zbiorze „Wolność tragiczna“, wzruszająco pięknie ujął to Kazimierz Wierzyński w wierszu „Manewry Strzeleckie“:

„Za dużo już upadku i nazbyt z nim
swojsko
I zbyt nikczemna losu pogania nas kolej;
Dusžno mi w tym nieszczęściu i dość tej
niewoli:

Róbcie co chcecie — ja zaś będę robił
wojsko“.

„I tak się ta zabawa rozpocznie
dziecinna,
I tak się to ułoży, że z tego mi wojska
Wymaszeruje nowa, bijąca się Polska,
Bo kolej losu taka, a nie żadna inna“.

Myśl podstawowa Piłsudskiego nie odrazu może być zrealizowana, choć nadeszła chwila przeczuwana i wyśniona — wojna między zaborcami.

„Wybiła godzina rozstrzygająca: Polska przestała być niewolnicą i sama chce stanowić o swoim losie, sama chce budować swą przyszłość, rzucając na szalę wypadków własną siłę orężną. Kadry armii polskiej wkroczyły na ziemię Królestwa Polskiego, zajmując ją na rzecz jej właściwego, istotnego, jedyne gospodarza — Ludu Polskiego, który ją swą krwawicą użyźnił i wzbogacił. Zajmują ją w imieniu Władzy Naczelnej Rządu Narodowego. Niesiemy całemu Narodowi rozkucie kajdan, poszczególnym zaś jego warstwom warunki normalnego rozwoju.“

Tak brzmiała odezwa Komendanta Głównego Wojska Polskiego wydana w tych przełomowych dniach sierpnia 1914 roku, rozpoczynających wielką wojnę światową.

Nie odrazu dały się urzeczywistnić te dumne i śmiałe zamiary. Na razie powstać mogły tylko Legiony, które na polu walki krwią przelaną i pracą wojenną prawa Polski do niezależnego bytu musiały zadokumentować.

Dzieje Legionów Polskich są znane; weszły do historii naszej, do historii wojska i narodu — jakiegokolwiek osiągnięć wysuwano zastrzeżenia.

Nie miały łatwej sytuacji politycznej. Nie stał jeszcze za nimi własny rząd — politycznie reprezentował je Naczelny Komitet Narodowy, złożony z przedstawicieli jednej tylko dzielnicy.

Tym trudnościom, ale również aspiracjom dał wyraz w rozmowach z politykami galicyjskimi na przyjęciu, wydanym na jego cześć przez N.K.N. — Piłsudski: „... Być może, jestem romantykiem, być może że dlatego, że nigdy nie byłem zwolennikiem pracy organizacyjnej, wszedłem w tę wojnę. Ale porwało mnie w niej coś wielkiego i to, że otworzyła się możliwość czynu polskiego. Byłem w tym tylko wyrazicielem tego w Polsce, co się dusiło w atmosferze niewoli“... „Rozum stanu mu-

PIŁSUDSKIEGO

si uzupełnić naszą pracę i nasze ofiary“...

W tych politycznych warunkach Legiony Polskie, mimo swych wszystkich sukcesów bojowych — nie były wystarczającym ramieniem zbrojnym, by zrealizować plany Piłsudskiego.

Powstaje P.O.W.

Polska Organizacja Wojskowa, założona jesienią 1914 roku w Warszawie prowadziła pracę wojskowo-niepodległościową na obszarze kraju zajętego przez wojska rosyjskie.

P.O.W., którą nazwać można słusznie poprzedniczką i wzorem ruchu podziemnego w ostatniej wojnie — dla Armii Krajowej.

W pierwszym rozkazie do P.O.W., wydanym w swej kwaterze polowej, w dniu 25.VII.1915, tuż przed bitwą Jastkowską Piłsudski tak mówi: „Żołnierze. Stoicie na posterunku najcięższym, jaki wypaść może polskiemu żołnierzowi. Bez błyskotek zewnętrznych, które dają wojsko, bez moralnej satysfakcji walki z wrogiem pierś w pierś i oko w oko, stoicie zagrożeni zewsząd przez niewidzialnego nieprzyjaciela jak żołnierz, postawiony na posterunku, powszechnie uważanym za stracony“. „Lecz żołnierze, gdyby was brakowało, brakowałyby koniecznego nieodbita w każdym wojsku ogniwa. Brakowałyby tego tonu, który jedynie czyni wojnę — wojną narodową i zespoloną najcięższym z tragicznymi tradycjami walk naszych ojców i dziadów. Powiem więcej. Gdy o mnie idzie, o mnie, którego obwołujecie swoim naczelnikiem, to właśnie Wy, dzielni żołnierze, godzicie mnie z ciężkim losem, który mi wypadł podczas tej wojny“...

Po 2 latach wojny Legiony schodzą z frontu bojowego, idą do Królestwa. Wraz z P.O.W. mają stać się kadrami niezależnej armii polskiej. Piłsudski wchodzi do Rady Stanu, gdzie twardo, nieustępliwie reprezentuje ideę armii narodowej.

Na ogólnie krajowym zjeździe, złożonym z przedstawicieli ziem Królestwa Polskiego, celem ustosunkowania się przede wszystkim do sprawy wojska Józef Piłsudski mówi w długim referacie o armii narodowej.

„Kiedym szedł, jako sierota-żołnierz, szukający ojczyzny, kiedym wszedł do wspólnej rodziny żołnierza, by tego święta uroczystego dla każdego żołnierza tj. wojny zażyć, zazdrościłem otaczającym nas wojskom, nie przepychu

sztabów, jakie one posiadały. Zazdrościłem im nie tej wielkiej, olbrzymiej liczby ich wojsk, które, w porównaniu z naszą garstką były olbrzymem wobec karła. Nie zazdrościłem im wielkości, dumy i pychy. Zazdrościłem im jednego. Że mieli za sobą wolę narodu swego, która im posłuszeństwo nakazuje, że mieli rząd zorganizowany, który dumę żołnierza stanowi, który dla niego samego tę Ojczyznę reprezentuje. Zazdrościłem im, że w koniecznej brutalności wojennej oni mieli przed czym czoła uchylić.

To jest wymaganie nowoczesnego żołnierza: żołnierz musi być powszechny i żołnierz musi mieć swój rząd, którego słucha.“

Przemówienie kończy, podkreślając istniejące trudności, na których sprawa ugrzęzła stwierdzeniem: „Trzeba mieć wolę do tworzenia wojska... trzeba budzić wśród siebie i innych ten stan ducha, który, gdy przyjdzie chwila tworzenia tego wojska, nie zrobi Wam zawodu, ale stworzy nam dostatecznie wielkie siły, na których rząd polski ostatecznie będzie mógł się oprzeć.“

Nie szybko ta chwila nadeszła.

Konsekwentna polityka i stanowisko Piłsudskiego w sprawie rządu i wojska kończy się aresztowaniem jego i osadzeniem w twierdzy, w Magdeburgu. Los ten dzieli również najbliższy jego współpracownik, Kazimierz Sosnkowski.

Legiony idą za druty Szczypiorna i Benjaminowa, czy też zostają ich żołnierze wcieleni przymusowo do armii austriackiej.

Przygotowane zawczasu od roku 1914 szereg P.O.W. — mimo represji i szkan, zarówno centralnych państw jak i wkrótce Rosji sowieckiej, rozwijają teraz swą akcję, obejmując nią wszystkie dzielnice i fronty. Akcja P.O.W. zaważy wszędzie: od Moskwy i Kijowa — aż po Śląsk i Poznań czy front włoski. P.O.W. dociera i działa wszędzie.

PO DRUGIEJ STRONIE FRONTU

Wydawać się mogło, że odrębne i przeciwstawne tzw. „orientacje polityczne“ zaciążyły na sprawie zasadniczej — tworzenia wojska polskiego, tej zadniczej przewodniej myśli, konsekwentnie przeprowadzanej przez Józefa Piłsudskiego.

Sięgnijmy nie tylko do wspomnień, ale i do archiwum.

W czerwcu 1917 roku — gdy rewolucja i liberalne podówczas warunki to umożliwiły — zorganizowany został w Petrogradzie Zjazd Wojskowych Polaków. Jest to pierwsza manifestacja polska po upadku caratu i przed październikową rewolucją bolszewicką.

„The Times“ w numerze z 14.VI.1917 pisze o tym pt. „New Polish Army in Russian Front. 500.000 men to be assembled.“

„Journal de Genève“ z 17.VI, przytaczając niemal dosłownie dłuższe wywody „Times'a“ podkreśla: „Dawny rząd nie miał nigdy zaufania do Brygady Polskiej, która się utworzyła kilka miesięcy temu i stawiał jej rozwojowi przeszkody. Obecnie sytuacja się radykalnie zmieniła. Utworzenie armii polskiej uznano, jako pierwszy krok do niepodległej Polski“.

Podkreślając, że zjazd niemal jednogłośnie uchwalił utworzenie armii polskiej — dodaje: „Prezes honorowy Zjazdu, Józef Piłsudski, organizator Legionów galicyjskich i dawny członek Warszawskiej Rady Stanu został obrany przez aklamację głównym dowódcą wojsk polskich“. Zaznaczono również, że ogłoszenie to odbyło się w obecności przedstawicieli wszystkich ambasad i poselstw koalicji. Generał Romanowski, szef sztabu generalnego (Rosji), który był obecny na zjeździe w charakterze reprezentanta ministra wojny Polaków, oświadczył, że życzenie Polaków zostanie wzięte pod pilną rozwagę.

KRECHOWIACY PIERWSI USIŁUJĄ NAWIĄZAĆ KONTAKT

W tym samym okresie, gdy w dawnym Petersburgu, wkrótce przemianowanym na Leningrad, wojskowi i politycy myślą o budowie armii — 1-szy pułk ułanów, który powstał z załążka formacji kawaleryjskiej Legionu Puławskiego walczy w ramach rosyjskiego korpusu kawalerii, szarżując oddziały niemiecko-austriackie pod Krechowcami i osłaniając równocześnie ludność opuszczonego Stanisławowa przed grabieżą i rabunkiem zrewoltowanych band rosyjskich. Odrzucając propozycję pozostania w mieście — by móc następnie odejść do Warszawy, do dyspozycji Rady Stanu — dowódca pułku płk. Bolesław Mościcki w liście do niej pisze m.in.: „Uznając powagę Rady Stanu i ciężkie zadania, jakie wzięła na swe barki, przesyłamy Jej wyrazy głębokiego szacunku, nowo powstającemu rządowi polskiemu składamy hold. Przewodnikowi i budzielowi militarnego, a rycerskiego ducha Polaków, generałowi Piłsudskiemu, wiernemu synowi Ojczyzny — czołem“...

„Niech żyje przyszła potężna Polska Armia, ostoja wolności i niepodległości Ojczyzny naszej“.

* * *

Gdy we wrześniu pułk znalazł się w składzie 1-go Korpusu gen. Dowbór-Muśnickiego, płk. Mościcki postanawia nawiązać natychmiastowy bezpośredni kontakt z Komendantem Piłsudskim.

Zadanie to powierza jednemu ze swych zaufanych oficerów por. Zygmuntowi Podhorskiemu, dowódcy szwadronu w swoim pułku.

Instrukcja jest krótka: (według relacji gen. Podhorskiego w Instytucie J.P. w Londynie). Zapytasz Piłsudskiego o zdanie. Jeżeli uzna połączenie się za słuszne, to niech poda jak mamy to wykonać. Musimy sobie wspólnie pomóc. Jeżeli będzie uważał, że my mamy dołączyć do niego, to ja postawię gen. Dowbora wobec faktu dokonanego. Będę go namawiał, żeby to wykonał; jeżeli się nie zgodzi, to ja z pułkiem przejdę, a może i inni dowódcy z innymi oddziałami dołączą do nas“.

MAGDEBURG I KRYZYS PRZYSIĘGOWY

Nie wiadomo wówczas po tamtej stronie w szeregach organizujących się wojsk, że w lipcu zostali aresztowani Józef Piłsudski i Kazimierz Sosnkowski. Nie wiadomo o odmowie przysięgi przez większość pułków legionowych, o internowaniu królewiaków i wysłaniu poddanych austriackich na front włoski.

Nie wiadomo jednak również o tym, że Komendant Piłsudski rozważał zamiar przebicia się przez front do formujących się w Rosji oddziałów polskich, gdzie na początku rewolucji otwierały się możliwości samodzielnego działania. Na odprawie poufnej wyższych dowódców w Warszawie przed odmową przysięgi Komendant określił jasno sytuację Polski, Legionów i swoją własną:

„Nasza wspólna droga z Niemcami skończyła się. Rosja — nasz wspólny wróg w tej światowej wojnie, skończyła swą rolę. Wspólny interes przestał istnieć. W interesie Niemców leży pobicie Aliantów; w naszym — by Alianci pobili Niemców“...

„Dlatego też wy do tej Armii Polskiej nie pójdziecie. Dlatego dawno już wydałem rozkaz P.O.W., by nie robili rekrutacji do Legionów i teraz do tego wojska, a tylko do tajnej organizacji...“

I zapowiadając swoim podkomendantom trudne chwile przez obozy i wojsko austriackie podtrzymuje ich na duchu: „Ta „przechowalnia“ nie będzie lekka, ale powinniście w dobrej formie przetrzymać i to przeżyć“... „Co do mnie obojętnie, był czas, kiedy byłem zdecy-

downy iść do oddziałów polskich, które się organizują w Rosji. Dziś jeszcze nie mogę wam powiedzieć, co zdecyduję ostatecznie; w każdym razie będziemy wiedzieli o sobie“.

W kilka dni po tej odprawie Niemcy aresztowali Komendanta i Szefa.

DALSZA DROGA DO WOLNEJ POLSKI

Po uniemożliwieniu przez Komendanta Piłsudskiego utworzenia armii polskiej przez Niemców — wypadki w Rosji zniszczyły również wszelkie możliwości organizowania tam formacji polskich. Po zawarciu pokoju Brzeskiego II Brygada Legionów, sławna Żelazna Brygada Karpacka, połączona z II Korpusem Wschodnim, w bitwie z Niemcami pod Kaniowem 11 maja 1918 roku kończy swe istnienie. W kilka dni później I Korpus gen. Dowbór-Muśnickiego zostaje również przez Niemców rozbrojony.

Pozostają jedynie na dalekich kręścach Rosji Murmańcy, Dywizja Syberyjska i na południu dywizja generała Żeligowskiego.

Generał Józef Haller, który zdołał z niewielu towarzyszami przedrzeć się przez Murmańsk do Francji, staje tam wkrótce na czele Armii Błękitnej, utworzonej z ochotników z Ameryki i Kanady, oraz z jeńców z armii niemieckiej i austriackiej. Znalazło się w niej również wielu legionistów i żołnierzy innych formacji ochotniczych, którzy różnymi drogami przedostali się do Francji.

Na konferencji niepodległościowych ugrupowań politycznych na Ukrainie, odbytej w dniach 24-25 maja 1918 roku w Kijowie, gen. Haller ustalił następujące zasady pracy wojskowej:

„Jedyną instytucją wojskową pozostaje P.O.W. — Wszyscy oficerowie i żołnierze mają wstąpić do P.O.W. i przechodzą pod kierownictwo Komendy Głównej. Wobec nieobecności Komendanta i do czasu wyłonienia się Rządu Narodowego stworzone zostają dwa sztaby: jeden dla kierownictwa prac na terenach okupowanych, drugi poza obrębem dostępnym dla wpływów niemieckich. Zadaniem ich jest stworzenie demokratycznej armii, jako siły Polskiej Republiki Ludowej“.

Dalszy ciąg powyższej konferencji odbył się w Wasylkowie (pow. kijowski) w pierwszych dniach czerwca 1918, kiedy ustalono zasady współdziałania między P.O.W. a żołnierzami rozbitego Korpusu II.

Treść porozumienia była następująca: „1) Komendantem Głównym wszystkich Polskich Sił Zbrojnych jest Józef Piłsudski.

2) Do chwili uwolnienia Go z więzienia, względnie do czasu utworzenia niezależnego Rządu Narodowego, kierownictwo polskiej akcji wojskowej przeprowadza Naczelne Dowództwo, które obejmuje gen. Haller.

3) W skład Naczelnego Dowództwa wchodzi dwa sztaby: jeden dla formacji regularnych, poza obrębem wpływów państw zaborczych, stojący pod bezpośrednimi rozkazami gen. Hallera, drugi dla działań wojskowych w obrębie wpływów państw zaborczych pod komendą płk. Rydza-Śmigłego, jako zastępcy Naczelnego Dowództwa“ (Wg. raportu K.N. 3, P.O.W. z czerwca 1918 roku).

P.O.W. działa i rozwija się — mimo kontrakcji niemieckiej i austriackiej i jeszcze bardziej drakońskich zarządzeń komunistycznej Rosji — wszędzie, szczególnie silnie w samym Kraju Kłeska państw centralnych w listopadzie 1918 r. daje odrazu Polsce zorganizowane oddziały, kadry i zaczątki własnej siły zbrojnej.

PIERWSI ŻOŁNIERZE WOLNEJ POLSKI

W listopadzie 1918 roku — gdy odtrąbiono po przeszło 4-letnich walkach zawieszenie broni, gdy kapitulowały wojska cesarskiej Rzeszy Niemieckiej — Polska odzyskuje wolność i po przeszło wiekowej niewoli haniebnych rozbiórów staje się państwem niepodległym. Gwarantką niepodległości ma być armia, niezależne siły zbrojne organizującego się państwa.

Warto tu przypomnieć w skrócie pierwszy rozkaz do wojska polskiego, wydany 12 listopada przez Piłsudskiego jako Naczelnego Wodza.

„Żołnierze. Obejmuję nad Wami komendę w chwili, gdy serce w każdym Polaku bije silniej i żywiej, gdy dzieci naszej ziemi ujrzały słońce swobody w całym jej blasku. Z Wami razem przeżywam wzruszenie tej godziny dziejowej, z Wami razem ślubuję życie i krew swoją poświęcić na rzecz dobra Ojczyzny i szczęścia Jej obywateli“.

I podkreślając szkodliwą niejedność, jako pozostałość różnych formacji wojskowych w okresie wojny — dodaje: „Liczę na to, że każdy z Was potrafi sobie przezwyżyć i zdobędzie się na wysiłek dla usunięcia różnic i tarć, klik i zaścianków w wojsku, dla szybkiego wytworzenia poczucia koleżeństwa i ułatwienia pracy“.

„Chciałbym... abym mógł, zdając sprawę ze swych czynności przed narodem, powiedzieć sumiennie o sobie i o Was, że byliśmy nie tylko pierwszymi, ale i dobrymi żołnierzami zmartwychwstałej Polski“.

Od pamiętnego listopada 1918 r. — trwa najpiękniejsza wiosna zmartwychwstałej Polski i odradzającej się — w trudnych i żmudnych warunkach — armii.

Dzisiaj z perspektywy półwiecza — nieważne i nieistotne wydają się i są wszystkie trudności i załamania. W ciągu dwuletnich zmagani, w trakcie organizacji i improwizacji — wywalczone zostaje wielkie zwycięstwo — cudem nazwane, tak bowiem wydawało się niezwyczajnie. Zwycięstwo nad Wisłą i dokończenie go nad Niemnem, które jest fundamentem odbudowy państwa i jego armii. A kamieniami milowymi, które do niego wiodą — to obrona Lwowa i zajęcie całej wschodniej Małopolski, zdobycie Wilna, zajęcie Dyneburga, Kijowa i dojście nad Dniepr, walki z potężną armią konną Budiennego i wreszcie otczenie i odcięcie hord bolszewickich, idących na podbój Polski i z bolszewizowanie Europy. Jeszcze raz Polska — ledwo się odradzająca — spełniła swą misję dziejową. Zgodnie z przekazaną tradycją „Za naszą i waszą wolność“.

Gdy podpisany został w Rydze układ o rozejm wojskowy z dniem 18 października, Piłsudski zwraca się w dniu następnym z rozkazem do wojska: ...

„Żołnierze! na barki moje, jako Naczelnego Wodza, w ręce Wasze jako obrońców Ojczyzny, złożył naród ciężkie zadanie zabezpieczenia bytu Polski, zdobycie dla niej szacunku i znaczenia w świecie“... „Zrobiliście Polskę mocną, pewną siebie i swobodną. Możecie być dumni i zadowoleni ze spełniania swego obowiązku. Kraj, co w dwa lata potrafi wytworzyć takiego żołnierza, jakim Wy jesteście, może spokojnie patrzeć w przyszłość“...

Wskrzeszony order „Virtuti Militari“, najwyższe odznaczenie bojowe i Krzyż Walecznych otrzymało wielu z tych najdzielniejszych żołnierzy. Uwieńczył on również sztandary najwaleczniejszych pułków — elity armii. —

W PAŃSTWIE NIEPODLEGŁYM

W ciągu tego niepełnego dwudziestolecia pokojowego istnienia państwo i jego siły zbrojne rozwijają się i osiągnęły z roku na rok coraz większy postęp. Drugie pokolenie żołnierskie, wychowane już w polskich szkołach, przejmując tradycję tych, którzy rozpoczęli swój marsz z krakowskich Oleandrów i przede wszystkim tych, którzy wywalczyli wielkie zwycięstwo w „18-tej najważniejszej bitwie świata“. Na straży Polski stoi jej armia, lotnictwo i marynarka.

Młode państwo, mimo swych bardzo ograniczonych możliwości — budując i rozrastając się we wszystkich dziedzi-

nach z dumą wita wracających z wielkich manewrów swych żołnierzy, zwyciężających na międzynarodowych zawodach lotników, swych marynarzy z „Wichru“, „Błyskawicy“ czy „Gromu“.

Rozwoju armii i sił zbrojnych nie zahamował ani na chwilę przełom w politycznym życiu państwa — wypadki maja 1926 roku.

Rozkaz Piłsudskiego do wojska, wydany 22 maja, gdy stanął znów na czele armii i gdy — siłą swego charakteru i osobowości stał się decydującą osobą w państwie, wzrusza i dzisiaj pięknem i mocą. Pisany własnoręcznie przez niego kończy się niezapomnianym zwrotem: „Znacie mnie i jeśli nie wszyscy kochać mnie potraficie, wszyscy musicie mnie szanować jako tego, który Was do wielkich zwycięstw prowadzić potrafił, a przy ogólnym zepsuciu i demoralizacji nie chciał i nie umiał korzyści własnej pilnować lub dochodzić.“

„Niech Bóg nad grzechami litościwy nam odpuści i rękę karzącą odwróci, a my staśmy do naszej pracy, która ziemię naszą wzmacnia i odradza“.

W 9 lat później odszedł po znojmym życiu Wielki Marszałek, odprowadzany przez wiernych Jego żołnierzy, oplakiwany przez naród — na wieczny spoczynek na Wawelu. Po raz ostatni zdefilowały przed nim nasze szeregów na polu Mokotowskim, pochyliły się przed trumną, na lawecie ustawionej, zwycięskie sztandary pułków. Żegnały Go dwa pokolenia żołnierzy Jego, ci z pierwszej wojny światowej o wolność Polski i ci w wolnej Polsce wychowani, którzy nie znali już, czy nie pamiętali obcych rządów i obcej przemocy. Jeden z wielkich poetów tego okresu Leopold Staff ujmie bolesny zgon w pięknej elegii:

„I cóż, że zgąste zamknęli Mu oczy
Pod władczym, twardym cieniem brwi
Wikinga?“

Cóż, że na trumnie szara czapka leży,
Wielka buława i zwycięska klinga?
Nikt nie rzekł „Umarł“. Szeptano:

„Nie żyje“.
Pierś każda mocą ducha Jego wzbiera.
Wielkość w najdroższej trumnie się nie mieści.

Bohater nigdy, nigdy nie umiera“.

ZYJE DUCHEM WŚRÓD NAS

1 września 1939 roku Polska musiała przyjąć walkę, odpierając samotnie przeważające siły Niemiec Hitlera, które w powszechnie znanym pakcie z Sowietami chciały zlikwidować państwo nasze, wytępić naród przez wspólnie ułożone eksterminacyjne zarządzenia. Na przestrzeni naszej tysiącletniej historii — na pewno najtrudniejsza sytuacja, najbardziej tragiczny zakręt dziejów.

Opór Polski, choć nie mógł trwać długo miał zarówno bohaterskie momenty — by wymienić Kutno, Westerplatte i obronę Warszawy i Modlina — przed którymi nawet nieprzyjacielski dowódca czoła musiał uchylić — jak i stwierdził zdecydowane jednolite stanowisko narodu, determinacji całego młodego państwa. W wojnie tej naród trwał do maja 1945 roku i nawet dłużej, w uporczywie szukających wolności oddziałach leśnych A.K.

Ta postawa i ten samotny opór Polski wywołał długą wojnę światową — niemal 6 lat trującą. Wojnę zwycięską militarnie, przegraną politycznie.

Jak Polska walczyła — na zachodzie i w Kraju — jest dzisiaj sprawą ogólnie znaną, nie tylko uczestnikom wojny, lecz również młodemu pokoleniu — i temu na obczyźnie urodzonemu i wychowanemu i temu w Kraju. Nazwiska najwyższych dowódców, ich postawa jak i ich wspomnienia mówią o łączności duchowej z Wielkim Marszałkiem, do którego nawiązują w swych poczynaniach i rozkazach. —

Mówi też o tym postawa żołnierzy i tych, walczących na zachodzie jak i tych z podziemia, z szeregów Armii Krajowej, jak świadczy choćby zacytowany na wstępie wiersz Paczkowskiego — „Otośmy wszyscy Komendancie — Twój żołnierze“.

Warto też kilka wypowiedzi przytoczyć — by dać świadectwo prawdzie.

Na pustyni w Kizil-Ribadzie, generał Władysław Sikorski wracając z inspekcji 2 Korpusu zatrzymał się w sztabie dowódcy bazy gen. Józefa Wiatry. Odpowiadając na jego przemówienie powitalne i podkreślając wybitne zasługi w pracy wojennej „piłsudczyków“ — wódz naczelny powiedział: „Proszę zacząć orkiestrę zagrać „Pierwszą Brygadę“, chcę zrobić przyjemność Panu i Pana żołnierzom“. Rozkaz wykonano natychmiast i tę „najdumniejszą pieśń wojenną“ — od lat zakazaną — zagrała orkiestra 7 dywizji. Dowódcą jej był płk. Leopold Okulicki — od upadku powstania warszawskiego ostatni dowódca Armii Krajowej.

* * *

W tym samym roku gen. Władysław Anders — w wojnie 1920 roku dowódca 15 pułku ułanów, którego sztandar Marszałek odznaczył krzyżem Virtuti Militari — w przemówieniu do żołnierzy i ludności cywilnej, podkreślając nieobecność Wodza Naczelnego, gen. Kazimierza Sosnkowskiego, powiedział: „Obok Wielkiego Marszałka był i jest on symbolem walk o niepodległość“. Ten sam zwrot powtórzył gen. Anders, witając gen. Sosnkowskiego 14.XI.1943.

(Dokończenie na str. 8)

W czasie swego pobytu w Egipcie przemawiając na uroczystości odsłonięcia tablicy ku czci Marszałka Piłsudskiego w Heluanie (gdzie mieszkał w roku 1931) — wymieniając zasługi Ignacego Paderewskiego i Romana Dmowskiego na konferencjach pokojowych i w obronie praw Polski wśród obcych oświadczył: „Jednakowoż my żołnierze mamy najgłębiej w sercu pamięć Józefa Piłsudskiego, który był dla nas symbolem walk o niepodległość, który walkę tę rozpoczął jeszcze przed 1-szą wojną światową. Jego powrót do Kraju w r. 1918 był początkiem zrywu całej Polski... „Pod Warszawą w roku 1920 rozstrzygnęły się losy nie tylko Polski, ale i całej Europy. Tę walkę wygraliśmy, bo na czele nas stanął człowiek, który postawił sobie za pierwsze zadanie obronę honoru i niepodległości Polski. Dziś bardziej niż kiedykolwiek, po 25 latach widzimy, jak mądra i przewidująca była Jego działalność“.

I nawiązując do szlaku Legionów Dąbrowskiego gen. Anders powiedział:

„W tej walce kroczyć będziemy po drodze Wielkiego Marszałka. I dlatego wierzę, że duch Jego jest dzisiaj z nami i z liter tej tablicy patronuje nam ku wolnej, wielkiej i szczęśliwej Polsce“.

* * *

W książkach i pamiętnikach wyższych dowódców — gen. Stanisława Maczka czy gen. Stanisława Sosabowskiego, można odszukać wiele nawiązań do okresu wojny polskiej i jej wodza naczelnego. Gen. Stanisław Maczek, jeden z najdzielniejszych oficerów, wyróżnionych przez Marszałka w wojnie 1918-1920, w swej książce-pamiętniku „Od podwoły do czołgu“ nawiązuje parokrotnie do tych wspomnień wojennych.

W PODZIEMIU, W ARMII KRAJOWEJ I W POWSTANIU WARSZAWSKIM

Stosunek ludzi podziemia do życia, działalności i wskazań Marszałka Piłsudskiego wymaga osobnego opracowania. Wiele dowodów tej łączności duchowej zaginęło w płomieniach walczącej stolicy, wiele jednak uratowano, skrzętnie przechowano i otoczono opieką w Studium Polski Podziemnej.

Wzruszające nawiązanie znajdujemy w „Biuletynie Informacyjnym“ najpopularniejszym tygodniku, wydawanym przez ZWZ — późniejszą A.K., w „Wiadomościach Polskich“, dwutygodniku ogólnie politycznym, czy też miesięczniku fachowo wojskowym „Insurekcja“. W broszurze konspiracyjnej „Duch Woj-



Marszałek Piłsudski w czasie rewii kawalerii na błoniach krakowskich w r. 1933.

ska Narodowego“, która była wskazaniem ideowo wychowawczym przy szkoleniu młodzieży na dowódców różnych stopni, w rozdziale „Dziejowa chwila“, czytamy m.in.: „Dziś, gdy w skupieniu przygotowujemy się do tego odrodzenia, słuszną będzie sięgnąć po pomoc do skarbnicy naszej żołnierskiej. Będziemy w niej szukać wskazań, jaką ma być dusza odrodzonego wojska. Pamiętamy, że „Podstawą armii jest dusza prostego żołnierza, dopóki dusza ta jest silna, armia wytrzymuje dołę i niedołę, gdy dusza ta się załamie — upadek armii jest nieuchronny“. To myśl zacytowana z przemówienia Marszałka w sierpniu 1919 roku, z okazji pierwszego święta Żołnierza.

Spośród dowódców A.K. — trzech było oficerami I Brygady: gen. Karaszewicz-Tokarzewski i Grot-Rowecki i z 4. p. Leg. gen. Okulicki. Z 1-jej Brygady wywodzi swój rodowód wojskowy gen. T. Pełczyński, szef sztabu A.K.

Może małe wspomnienie powie jeszcze dobitniej o duchu A.K. — już w okresie powstania.

Oto 15 sierpnia 1944 r. w hallu P.K.O. o szklanym dachu, gdzie w podziemiach mieściła się kwatera główna A.K. — odprawiona została uroczysta Msza św. z okazji święta Żołnierza i zwycięstwa roku 1920. Do pracy i wskazań Józefa Piłsudskiego nawiązał swoje podniosłe kazanie — wśród huku lecących nad

stolicę i gmachem bez przerwy Stukasów niemieckich — kapelan sztabu A.K., a wielki przedsiownik P.K.O. wypełniony był po brzegi przez rozmodlonych i wierzących w lepsze jutro Polski walczących żołnierzy — kobiety, młodzież, dzieci.

* * *

Gdy dziś, setną rocznicę urodzin Józefa Piłsudskiego — my kombatanci, rozsiani po całym świecie, my byli żołnierze trzech kolejnych żołnierskich pokoleń — od Kadrowki poczynając aż po ostatnie walczące w lasach oddziały Armii Krajowej, oddajemy hołd najgłębszy pamięci Wielkiego Marszałka i jednego z największych ludzi naszej historii — by czerpać z Jego pracy i Jego wskazań na naszej dalszej drodze ku Wolnej Polsce — może będzie najwłaściwiej na końcu tych rozważań przytoczyć ostatnią myśl obcego historyka — Lorda Kennana z rozdziału „Piłsudski“ w „Cambridge History of Poland“: „Whatever the future may hold, the spirit of the Polish nation will ever derive inspiration from his memory“.

Stefan Benedykt

Prosimy uprzejmie Penumeratorów „Orla Białego“ o adresowanie czeków i P.O. tylko na:

GRYF PUBLICATIONS Ltd.

Także w służbie najtrudniejszy jest początek

(Z teki wspomnień o marszałku Piłsudskim)

ŻOLNIERSKIE szczęście sprzyjało mi w mojej długiej służbie wojskowej, ale w najciężniejszy sposób dopisało mi w sierpniu 1920 roku, gdy dzięki przypadkowi rozpocząłem w Siedlcach moją wieloletnią i zaszczytną służbę przy boku naszego Wyzwoliciele. Z tego najgłośniejszego, choć nieraz chmurnego okresu mojego życia zachowałem, oczywiście, bez liku wspomnień różnorodnego typu i znaczenia. Wobec ich mnogości znalazłem się w nielada kłopotach, gdy redaktor „Orła“ zaproponował mi podzielenie się niektórymi z nich z czytelnikami jego miesięcznika. Wybrałem ostatecznie dwa — z 1920 i 1929 roku, jako dobrze charakteryzujące Marszałka i równocześnie dowodzące, że nie tylko „w miłości“, jak śpiewała Modzelewska, ale także w służbie „najtrudniejszy jest początek“.

Ponieważ nie byłem w Legionach, choć należałem do Drużyn Strzeleckich przed I wojną światową, ujrzałem późniejszego Marszałka po raz pierwszy dopiero w 1919 roku, gdy przejmował w Poznaniu władzę nad poprzednio samodzielną armią wielkopolską. Nie mogłem wówczas przewidzieć, że przypadek zwiąże mnie z Nim bezpośrednio na długie lata.

Po wyprawie kijowskiej zostałem przeniesiony do oddziału operacyjnego Naczelnego Dowództwa, którego szef, płk. Julian Stachiewicz znał mnie jeszcze z pierwszych dni Powstania Wielkopolskiego. Mając niepełnie wygojoną ranę w na pół sztywnej nodze, musiałem uznać ten przydział za szczyt szczęścia żołnierskiego. Zwłaszcza, że już po kilku dniach zostałem przesunięty z sekcji zachodniej, w tym czasie niemal bezrobotnej, do sekcji wschodniej, w której ogniskowały się wszystkie operacyjne sprawy frontu przeciwbolszewickiego. Toteż nie mogliśmy narzekać na brak pracy i emocji. Byliśmy, oczywiście, podnieceni i zaniepokojeni nieustannym zbliżaniem się czerwonej powodzi, ale wierzyliśmy w odmianę. Jeśli do

6 sierpnia ten nasz optymizm był chwilami podgryzany złymi wiadomościami z frontu, to po zaznajomieniu się z prawdziwie napoleońską decyzją Naczelnego Wodza nie mogło go już nic podważyć. Ani świadomość związanego z tym planem ryzyka, ani widoczny dla nas brak harmonii między gen. Rozwadowskim i Weygandem, ani wyjazd delegacji „rozejmowej“ do Mińska Litewskiego, ani nie zawsze budujące wypadki do jednostek spływających na przyczółek warszawsko-modliński. Pokrzepiała nas świadomość, że armie Siergiejewa i Budiennego oddalają się od decydującego teatru działań i że XVI armia bolszewicka nie zareagowała na skręcenie naszej grupy uderzeniowej za dolny Wieprz.

Nazajutrz po zdobyciu Mińska Mazowieckiego przez koncentryczne natarcie wielkopolskich dywizji udało nam się z ówczesnym kapitanem, a późniejszym generałem Regulskim, zgodnie z rozkazem płka Stachiewicza, do Siedlec, by tam zasilić miniaturową kwaterę połową marszałka Piłsudskiego, przybywającą równocześnie z Puław. Wiózł nas swoim sportowym samochodem znany as automobilowy Bitchan. Dotarliśmy bez przygód, choć dokoła odbywały się utarczki z rozbitkami bolszewickimi, próbującymi wydostać się z matni.

Po kilgodzinnej pracy z pułkownikiem Stachiewiczem, który na odmianę pełnił funkcję szefa sztabu frontu środkowego, gdy w Warszawie zastępował go ppłk. Piskor, objąłem około północy dyżur. Czekałem z rosnącym niepokojem na powrót Marszałka z Warszawy, starałem się uzyskać połączenia z najważniejszymi armiami, by zebrać ostatnie wiadomości i przekazać kilka poleceń, pozostawionych przez płka Stachiewicza. Rezultat tych starań był, niestety, mizerny. Gdy bodaj o trzeciej nad ranem Komendant wreszcie przed naszą kwaterą zajechał, odpadł jeden niepokój, ale wzrósł drugi. Miałem przecież po raz pier-

wszy rozmawiać z nim w cztery oczy, a nie byłem do tego należycie uzbrojony w aktualne wiadomości. Szybkie sprawdzenie, że jestem za to należycie zapięty i bronią obwieńczony, nie stanowiło dostatecznego ekwiwalentu.

Gdy, zresztą bardzo strudzony, zakurzony i chmurny, do westybulu wszedł, przerwał niecierpliwie mój zbyt głośny i długi meldunek i z miejsca zapytał o wiadomości ze Lwowa oraz z nadgórnego Bugu i dolnej Wisły. Gdy zameldowałem, że posiadam aktualne wiadomości tylko z 2 i 4 armii, z której właśnie wrócił, wpadł w gniew, „objechał“ mnie bynajmniej nie najdelikatniejszymi słowami, zapytał skąd się tu wziąłem i po zapewnieniu, że takich oficerów nie potrzebuje, kazał mi wracać, skąd przyjechałem. Choć dotknięty tym do głębi, nie próbowałem się usprawiedliwiać. Odpowiedziałem jedynie, pono głosem „zdławionym i twardym“, że rozkaz wykonam bez zwłoki po zdaniu służby. Popatrzył mi badawczo w oczy i wyszedł bez słowa do sąsiedniego pokoju, za którym przygotowana była sypialnia.

Następne godziny dyżuru spędziłem w posępnym nastroju i na uporczywych próbach uzyskania połączeń. Nie byłem zgnębiony tym, że moja „kariera wojskowa“ została „zwichnięta“, bo wówczas nie zamierzałem pozostać w czynnej służbie i jako aplikant sądowy, chciałem po wojnie na łono Temidy wrócić. Bolało mnie natomiast, że zostałem obciążony odpowiedzialnością za mizerny stan naszej łączności. Przede wszystkim jednak gryzło mnie to, że ja, marny „bubek sztabowy“, rozdrażniłem naszego Wyzwoliciele, obarczonego tak ogromną odpowiedzialnością, i nie dostarczyłem mu elementów może potrzebnych do pilnych decyzji. W rzeczy samej, o czym nie wiedziałem, Komendant mimo zmęczenia nie zaraz się położył, tylko pisał nową instrukcję dla gen. Rozwadowskiego — na

(Ciąg dalszy na str. 10)

podstawie obserwacji zebranych głównie po drodze.

Instrukcję tę zabrałbym prawdopodobnie do Warszawy, gdyby nie zagrało znów moje szczęście żołnierskie: krótko przed godziną 8-mą, o której kończył się mój dyżur, wszedł Komendant (Marszałkiem został później) nieoczekiwanie do naszego biura. Niewyspany i niezupełnie ubrany, ale jakoś mniej posępny i groźny. Po zaznajomieniu się z ostatnimi wiadomościami, zwłaszcza ze Lwowa, Lublina i Modlina, które udało mi się cudem uzyskać, i po obejrzeniu naszej mapy sytuacyjnej, którą zdołałem jako tako zaktualizować, zaczął mi zadawać pytania. Pytał o możliwości konnego korpusu Gaja, o skład trzech północnych armii bolszewickich, o stan sieci kolejowej na Białorusi, wreszcie o to, na czym polegało i polega ryzyko naszego manewru oraz co zrobią Niemcy z oddziałami bolszewickimi, które zostaną do Prus wpuźdzone.

Egzamin ten wypadł widocznie zadowolająco, bo na koniec Komendant się uśmiechnął i pogłaskawszy mnie po głowie i ramieniu, kazał mi „po odespaniu nocy i dobrym śniadaniu“ do służby wrócić. Tę pierwszą, ale bynajmniej nie ostatnią reprimendę przypomniał mi Marszałek dwukrotnie w późniejszych latach. Śmiał się przy tym, że w Siedlcach dokonał „odkrycia“, iż „polska hardość i pruska dyscyplina, zaszczerpiona mi w berlińskiej gwardii, to nie najgorsza mieszanka“. Ja natomiast przekonałem się w Siedlcach po raz pierwszy, że jego oczy potrafią także uśmiechać się spod krzaczastych brwi i że jego gniew może szybko ustąpić odruchom wrodzonej dobroci.

Choć podczas naszego krótkiego postoju w Siedlcach, przerwane go bodaj dwoma wypadami na szybko oddalający się front, hiobowych wieści w ogóle nie było i nawet fragmentaryczne niepowodzenia były rzadkie, widzieliśmy nieraz Komendanta niezadowolonego lub nawet rozżłoszczonego. Gniewało go wszystko, co zmniejszało rozmiary zwycięstwa lub zaciemniało obraz walk z Budiennym, gdy on wreszcie spod Lwowa ku Zamościowi ruszył. Był już pewny zwycięstwa, ale nie był nim upojony.

Zachował bezwzględnie ową „tête froide d'un chef“, planując dalszy przebieg kampanii. Niemniej odzykiwał stopniowo swój dawny, jak mówili koledzy-legioniści, humor. Podczas posiłków opowiadał chętnie o różnych dramatycznych lub komicznych epizodach ostatnich dni, śmiał się z naszych relacji lub przekomarzań, które zręcznie podniecał, lub mówił o naszych zadaniach po odniesieniu ostatecznego zwycięstwa.

To ostateczne zwycięstwo dała nam dopiero bitwa nad Niemnem, w której także „nie marnego kontredansa, lecz wściekłego galopa rznąła muzyka wojny“, bo żelazna wola naszego naczelnego wodza mnożyła szybkość i wytrzymałość nóg polskiego piechura i konia.

Dla mnie osobiście wyprawa do Siedlec zakończyła się nieoczekiwanie przydziałem do Belwederu na funkcję oficera operacyjnego, awansem na kapitana i — pozostaniem w wojsku.

Podobnie nieudany był początek mojego ponownego przydziału do bezpośredniego otoczenia Marszałka w Generalnym Inspektoracie Sił Zbrojnych w 1929 roku, tym razem na stanowisko jego I oficera do zleceń dla spraw operacyjnych. Ku mojemu całkowitemu zaskoczeniu polecił mi Marszałek przejąć dział wschodni od Wieniawy, choć byłem daleko lepiej obeznany z problemami zachodnimi, o czym daremnie przypominałem. Ponieważ Marszałek wybierał się właśnie do Belwederu czy na Zamek, a Wieniawy nie było w biurze, polecił mi narazie zapoznać się z aktami leżącymi na jego ogromnym biurku, a właściwe wprowadzenie odłożył do dnia następnego. Zabrałem się do tego wstępnego studium niezwłocznie, wyszukawszy wśród stosów teczek oraz luźnych wykresów, szkiców, tabel, meldunków i opracowań te, które były ze wschodem związane. Siedziałem nad tym długo. Tym dłużej, że niektórych „załączników“ nie mogłem zaraz znaleźć i że postanowiłem wszystko skrupulatnie poskładać i pospinać. Ślęczałem nad tym sporo godzin, aż wreszcie, bardzo zadowolony ze swojego dzieła, wyszedłem na miasto — na kolację.

Gdybym wówczas znał list Marszałka do pani Aleksandry Piłsud-

skiej, w którym m.in. o robieniu porządków na biurku wspominał, byłbym z pewnością mniej zadowolony, ba — nie podjąłbym się w ogóle mojej syzyfowej pracy. Wszak w tym liście napisał: „Na stole mam mnóstwo map rozrzuconych i książek i kawałków zapisanego i niezapisanego papieru, jednym słowem — idealny nieporządek, który, jak Ty, porządnicka jedna, wiesz, właściwie lubię, bo łatwo się w nim orientuję, gdy po uporządkowaniu najpotrzebniejsze rzeczy gdzieś się podzieją, a odwrotnie niepotrzebne głupio sterczą na pierwszym planie.“ Gdybym ten list, pisany jeszcze przed I wojną światową, znał, pozostawiłbym, oczywiście, ów „idealny nieporządek“ w jego pierwotnym stanie. Ponieważ go nie znałem, mój nowy „start“ był tak samo niefortunny jak pierwszy — w Siedlcach.

Gdy około 10-tej wieczorem wróciłem do domu, dowiedziałem się, że było kilka telefonów z Generalnego Inspektoratu i że mam natychmiast przyjść — bez względu na porę mojego powrotu. Wiedząc, że Marszałek jest „nocnym Markiem“, sądziłem, że z takiego czy innego powodu chce już dziś o moich nowych zadaniach mówić. Toteż stanąłem jak wryty, gdy spojrzał na mnie gniewnie i, tytułując mnie znów per „pan“, wzburzoną głosem oświadczył, że mnie ukarze, bo nie tylko bałagan na jego biurku zrobiłem, ale ważne dokumenty zgubiłem lub do domu zabrałem. Ponieważ wiedziałem, że nic zginąć nie mogło, i Marszałka wówczas już dobrze znałem, zapytałem jedynie najspokojniej, które to dokumenty zniknęły, i dowiedziawszy się, o których mowa, zademonstrowałem je po dwóch czy trzech minutach. Były pospinane we właściwych teczkach, więc ich Marszałek, podniecony moją „czystką“, w pośpiechu nie zauważył. Rozchmurzył się wobec tego i nawet uśmiechnął, jednak kategorycznie zabronił wprowadzania u niego „poznających porządków“. Po sakramentalnym „tak jest, Komendancie“ i zapewnieniu, że takich ambicji nie miałem, a w przyszłości, tym bardziej mieć nie mogę, rozładowałem naelektryzowaną atmosferę ostatecznie uwagą, że moi krajanie „zaś ale“ nie mówią „porządki“ tyl-

(Dokończenie obok)

Obchód 150-tej rocznicy śmierci

B.D.I.C

Tadeusza Kościuszki w Solurze

W rocznicę śmierci Naczelnika, dnia 15 października br. Stowarzyszenie polsko-szwajcarskie, KOŚCIUSZKO GESELLSCHAFT, urządziło uroczystość ku czci naszego bohatera narodowego.

Uroczystość rozpoczęła się złożeniem wieńców przy polskiej kaplicy w Zuchwilu, gdzie stoi pomnik-grobowiec Tadeusza Kościuszki. Wieńce złożyli: w imieniu Towarzystwa Kościuszki prezes p. R. Kurt, burmistrz miasta Solothurn, w imieniu Związku Organizacji Polskich w Szwajcarii prezes płk. S. Karolus i od tutejszego Koła SPK prezes S. Gmurczyk. W uroczystości wziął udział poczet sztandarowy dzieci polskich w strojach narodowych.

ko „porzundki —nieprawdaż“. Marszałek, zupełnie udobruchany, nie tylko zapytał, w czym mi przeszkodził, ale po krótkiej pogawędce na różne tematy przeprosił, że mnie niepotrzebnie ściągnął i niesłusznie ofuknął.

Mimo to, oczywiście, już do końca mojej służby przy jego boku nie zaprowadzałem mojego „ładu“ na marszałkowskim biurku, respektując ten zakaz tak samo, jak respektowałem i wykonywałem tyle innych zakazów czy rozkazów Marszałka. Nie wykonałem w pełni bodaj jedynie jego ostatniego rozkazu, danego mi chyba w połowie kwietnia 1935 roku, bym udał się do Austrii i starał się wysondować stopień pronazistowskich i „anschlusowych“ nastrojów w tym kraju, jak w roku poprzednim sondowałem w Niemczech reperkusje zglądzenia Roehma, generałów: Schleichera, Bredowa i kilkuset nazistów z S.A.

Nie wykonałem tego rozkazu całkowicie, bo tragiczna wieść o zgonie Marszałka zastała mnie jeszcze w Wiedniu, więc ani objazdu nie dokończyłem, ani raportu o nim już złożyć nie mogłem.

Tak więc dwukrotny początek mojej służby przy boku Wielkiego Marszałka, którego stuletnią rocznicę urodzin właśnie obchodzimy, był wprawdzie najtrudniejszy, ale jej zakończenie było tysiącrotnie boleśniejsze i tragiczniejsze.

Kazimierz Głabisz

Dalsza część uroczystości odbyła się przy pomniku-studni imienia Tadeusza Kościuszki w Solurze. Pomnik ten powstał z inicjatywy Towarzystwa Kościuszki, ze składek członków, przy wydatnej pomocy gminy miasta Solothurn. Postać męska z brązu, jako dość kontrowersyjna i zbyt nowoczesna u niektórych wzbudza zastrzeżenia. Przemówienie wygłosił prezes Towarzystwa p. R. Kurt, poświęcając dłuższy ustęp bytności naszego bohatera w Solurze. Po ceremonii oddania pomnika-studni pod opiekę miasta Solothurn, liczni uczestnicy udali się do kościoła Najświętszej Marii Panny, gdzie ks. E.J. Frania odprawił Mszę św. i wygłosił świetne okolicznościowe kazanie.

W godzinach popołudniowych odbyło się w teatrze solurskim przedstawienie sztuki pt. Tadeusz Kościuszko — Der Naczelnik, napisanej specjalnie na tę uroczystość przez p. Joh. A. Wirtha. Sztuka w formie epickiej przedstawia w siedmiu obrazach najważniejsze wydarzenia z życia Tadeusza Kościuszki. Grali amatorzy, Polacy i Szwajcarzy, pod reżyserią zawodowego aktora A. Raschendorfa. Publiczność przyjęła sztukę z entuzjazmem.

W hallu teatru rozłożył swoje „eksponaty“ Kiermasz Książki Polskiej. Zgrana ekipa pod przewodnictwem Halszki Vincenz-Poniatowskiej umożliwiła nabycie książek, a specjalną atrakcją była książeczka pt. „Kościuszko“ z pięknym, barwnym herbem na okładce. Jest to świeżo napisana, na podstawie dokumentów, przez p. Adelę Tatarinoff-Egenschwiler monografia Naczelnika, opatrzona licznymi fotografiami. Zakończenie uroczystości odbyło się w historycznym hotelu „Krone“, gdzie Zarząd Towarzystwa Kościuszki zaprosił pewną ilość gości na skromny bankiet. W czasie bankietu, po licznych przemówieniach, K.F. Vincenz wręczył prezesowi Towarzystwa p. R. Kurtowi cenny obraz przedstawiający dom w Mereczowszczyźnie, gdzie urodził się Tadeusz Kościuszko, namalowany przez Michała Kuleszę w roku 1845. Obraz ten ofiarował dla Muzeum Kościuszki znany społecznik i mecenas p. Julian Godlewski. I tutaj, w hallu hotelu Kiermasz Książki zorganizował stoisko z ok. 500 tytułami rozmaitych książek, cieszących się dużym zainteresowaniem.

Pod koniec zebrania w hotelu „Krone“ pp. Tadeusz Nowakowski z radia „Wolna Europa“ i Juliusz Ślaski z

„Głosu Ameryki“ przeprowadzili szereg wywiadów z organizatorami dzisiejszego obchodu, autorem i wykonawcami odegranej sztuki i z twórcą pomnika. Również ekipa radia i telewizji szwajcarskiej nagrała ważniejsze fragmenty uroczystości.

W przeddzień naszego obchodu, członkowie ambasady reżymowej oraz delegacja miasta Krakowa złożyli wieńce przy grobowcu Kościuszki i przekazali do Muzeum urnę z ziemią z kopca Kościuszki w Krakowie oraz album miasta Krakowa. Polska emigracja niepodległościowa nie brała w tym żadnego udziału.

Kazimierz F. Vincenz

BIBLIOTEKA „KULTURY“

BORYS PASTERNAK

DOKTÓR ŻIWAGO

NOWE

wydanie głośniejszej powieści

Przekład

PAWŁA HOSTOWCA

Str. 544.

Cena: dol. 5.50

sh. 38/6



SZYBKO I TANIO!

Biuletyny, ulotki reklamowe,
druki jedno- i wielobarwne
wykonują

ZAKŁADY GRAFICZNE

GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.

171, Battersea Church Road,
LONDON, S.W. 11.
Tel. BAT 0879

NAJLEPSZA TREŚĆ

ZA NAJNIŻSZĄ CENĘ!

PRENUMERATA „ORLA BIAŁEGO“

TYLKO £2.2.0 ROCZNIE!

JEDNA RĘKA DAJE

KILKA UWAG NA MARGINESIE

NA przestrzeni ostatniego roku zarejestrowano w Polsce kilka kolejnych podwyżek płac, dotyczących kilku grup pracowniczych. W sumie, od r. 1963 podwyżki objęły ponad 5 milionów pracowników. Zeszłoroczna seria podwyżek zaczęła się od pracowników Służby Zdrowia w lipcu i od podniesienia płac minimalnych z 750 do 850 zł. miesięcznie. W praktyce są to jednak podwyżki niewystarczające, bo nie mają istotnego wpływu na poprawę warunków bytu ludności. Z reguły każda podwyżka równoważona jest z miejsca nakładaniem dodatkowych ciężarów na społeczeństwo. Rozpatrzmy to nieco dokładniej na przykładzie podwyżki dla pracowników włókiennictwa.

W początkach maja br. Ministerstwo Przemysłu Lekkiego przyznało pewne podwyżki płac dla większości pracowników fizycznych zatrudnionych w przemyśle włókienniczym, odzieżowym i skórzanym. Łącznie, w skali rocznej przeznaczono na ten cel jeden miliard 46 milionów zł.

Powszechnie wiadomo, że pracownikom tego marnie wynagradzanego przemysłu zasadnicza podwyżka zarobków należała się już dawno. Zasłużyli sobie na to pracą w niezmiernie ciężkich warunkach oraz zwiększonymi znacznie efektami produkcji. Bo trzeba wiedzieć, że polski przemysł lekki, szczególnie włókienniczy, rejestruje ostatnio stały wzrost wydajności pracy i pewną, choć ciągle jeszcze niedostateczną (ale to już od robotników nie zależy) poprawę jakości produkcji, osiąganą — podkreślimy to — na bardzo przestarzałych maszynach. Zrozumiałe zatem, że za wyższą wydajność pracy należy się pracownikom tej branży lepsze wynagrodzenie.

Gdyby zaś władze gospodarcze dołożyły odpowiednich starań i szybciej zmodyfikowały ten tak ważny przemysł — efekty jego produkcji byłyby jeszcze lepsze. Lecz, niestety, jak to stwierdzono w lutym tego roku na ostatnim zjeździe włóknarzy około 60% zakładów przemysłowych tego resortu jest wyeksploatowana do ostatnich granic, a są wśród nich i takie, które przedstawiają obraz kompletnej ruiny. Zdarza się przecież, że wiele hal w fabrykach tego typu podpira się belkami, aby uchronić je przed zawałaniem, a park maszynowy tych fabryk często pamięta wiek dziewiętnasty.

Jeśli w tych warunkach włóknarze polscy osiągają względnie dobre wyniki produkcyjne — należy im się zarówno uznanie, jak też zasadnicza poprawa ciągle rażąco niskiej stopy życiowej.

Trzeba zatem zapytać, czy tegoroczna podwyżka płac zaspakaja w dostatecz-

nym stopniu słuszne roszczenia pracowników włókiennictwa?

Okazuje się, że pod tym względem należy mieć poważne zastrzeżenia.

Tadeusz Kunicki, wiceminister przemysłu lekkiego ogłaszając w maju podwyżkę dla włóknarzy zapowiedział, że średnia zarobków robotników tej branży wzrośnie o 171 zł. miesięcznie, a średnia wynagrodzeń dla majstrów o 200 zł. miesięcznie. W ten sposób uległa nieco zmniejszeniu rażąca dysproporcja między zarobkami włóknarzy, a wynagrodzeniami innych, lepiej płatnych zawodów. Mimo to, a więc już po tej podwyżce przeciętna płac we włókiennictwie nadal pozostaje o 20% niższa od średniej płac ogólnokrajowej.

Stwierdzenie tego faktu stanowi jednocześnie dowód ciągłego upośledzenia pracy kobiet. Bo trzeba wiedzieć, że o tak niskiej przeciętnej płac we włókiennictwie decyduje zatrudnienie w tym przemyśle wielkiej rzeszy kobiet, które z reguły są grubo gorzej wynagradzane. Dowodzi to jednocześnie, że tak reklamowane przez komunistów równouprawnienie zawodowe kobiet jest czym frazeselem i nie znajduje pokrycia w rzeczywistości.

Nowy system płac we włókiennictwie — jak to oświadczył wiceminister Kunicki — ustalono w taki sposób, aby wpłynąć na wzmoczenie wydajności pracy. W praktyce oznacza to dopingowanie robotników do pracy na akord i pogoń za premią. Jest to więc swoisty wyścig pracy, który ma nadrabiać zaniechania inwestycji i bardzo poważne braki organizacji pracy. Jak wiemy, stosowanie podobnych metod w niektórych bardziej zafacanych krajach kapitalistycznych propaganda komunistyczna nazywa oczywistym wyczyszczeniem pracy. Nie dostrzega jednak tego wyczyszczenia w zasięgu własnej władzy.

Początkowo trudno było ustalić w jakim stopniu ta nowa metoda wynagrodzeń odpowiadała wymogom chociażby względnej sprawiedliwości. Dziś już to wiemy, bo w Zakładach Przemysłu Jedwabniczego w Gorzowie doszło na tym tle do strajku tkaczek, które na skutek „podwyżki“ zaczęły zarabiać po kilkaset złotych miesięcznie mniej. Wiadomo również, że wypadek ten wcale nie był wyjątkowy. A stało się tak dlatego, gdyż nowy system wynagrodzeń zaniża robotnikom szansę lepszego zarobku wymaga poprawy jakości produkcji, co w wielu fabrykach jest nieosiągalne ze

względu na oplakany stan instalacji i maszyn.

Trzeba zatem wyrazić zdziwienie, że Związek Włóknarzy, który umowę o podwyżkach podpisał bez zastrzeżeń nie zwrócił na ten chwyt uwagi. Daje to jednocześnie świadectwo, jaką to rolę odgrywają w ustroju komunistycznym związki zawodowe.

W sprawie samej metody ustalania w Polsce podwyżek płac nasuwa się od razu kilka zasadniczych zastrzeżeń.

Po pierwsze — należy zwrócić uwagę, że kierownictwo związków zawodowych nie ma tam zwyczaju ogłaszania publicznie jakie konkretne żądania podwyżkowe wysuwa imieniem pracujących pod adresem państwowego pracodawcy. Nie informuje również opinii o przebiegu pertraktacji podwyżkowych.

Po drugie — każdego musi zastanowić, dlaczego w nowych warunkach wynagrodzeń dla włóknarzy wyodrębniono kategorię pracowników fizycznych, skoro związek zrzesza na równych prawach zarówno fizycznych jak umysłowych. Wskazywałoby to, że związek pertraktuje oddzielnie o inną formę podwyżek dla pracowników umysłowych. Fakt ten ma specjalną wymowę, gdyż Centralna Rada Związków Zawodowych w Warszawie dała ostatnio do zrozumienia, że zamierza kłaść specjalny nacisk na starania o uzyskanie szybszego wzrostu wynagrodzeń dla różnych kategorii pracowników umysłowych.

Po trzecie — nowy układ pracy we włókiennictwie nie ustala na jak długo ma obowiązywać oraz nie warunkuje automatycznej podwyżki płac w wypadku wzrostu kosztów utrzymania.

Wszystko to razem stawia pod znakiem zapytania wartość spóźnionej i niezwykle oszczędnej podwyżki płac dla pracowników fizycznych włókiennictwa, a to tym bardziej jeśli się zważy, że w ostatnich latach wzrost zarobków pracowników umysłowych jest conajmniej o 10% szybszy od wzrostu płac robotniczych.

A teraz warto zwrócić chwilę uwagi na warunki bytu włóknarzy, na przykład łódzkich. Otóż nawet w oparciu o krajowe badania socjologiczne położenie włóknarzy w Polsce jest bardzo ciężkie. Nawet w takich rodzinach włóknarskich, w których pracuje po dwie osoby zarabiając wspólnie stosunkowo dobrze, bo ponad 3.550 zł. miesięcznie, mimo wszystko także panuje niedostatek. Rodziny te nie dojadają i odczuwają dot-

— DRUGA ODBIERA

KOMUNISTYCZNEJ POLITYKI PŁAC

kliwe braki w zaopatrzeniu w odzież czy obuwiu, żeby nie wymieniać innych też ważnych potrzeb życiowych. Okazuje się bowiem, że przy obecnych cenach miesięczny zarobek 3.550 zł. nie wystarcza cztero-osobowej rodzinie polskiej na względnie znośne utrzymanie. A przecież, jak wiemy, średnia płac dopiero w zeszłym roku przekroczyła nieznacznie dwa tysiące zł. na miesiąc.

Dlatego należy uznać, że tegoroczna podwyżka płac dla włóknarzy i odzieżowców oceniana średnio na 171 złotych miesięcznie na pewno jest niewystarczająca, gdyż nawet po tej podwyżce średnia płac we włókiennictwie nie przekracza jeszcze dwóch tysięcy złotych miesięcznie.

Ale to jeszcze nie wszystko, bo z kolei wypada zapytać, kto poniesie koszt tej podwyżki?

W zasadzie, co zaznaczyłem już na wstępie, są one pokryte większymi efektami produkcji i wydajności pracy. Jednak władzom komunistycznym to nie wystarczyło. Przywódcom PZPR, chociaż mienia się rzecznikami interesów klasy robotniczej, szkoda każdej złotówki wydanej dodatkowo na płace pracownicze, chociażby to było przez załogi produkcyjne jak najbardziej zasłużone. To też kiedy partia i rząd w Warszawie są zmuszone naciskami robotników do przyznania jakichś podwyżek płac, czynią to zawsze w możliwie dużym opóźnieniu, a następnie — wzorem najbardziej zachłannych kapitalistów z początków zeszłego wieku — szukają zaraz sposobu powetowania sobie tego wydatku na społeczeństwie.

To samo stało się i tym razem. Miliard złotych, jaki przyznano na podwyżki dla włóknarzy i odzieżowców ściągany jest teraz z nadwyżką ze zwiększonych opłat za komunikację miejską, bo obie decyzje podjęto równocześnie.

Jak podały komunikaty kilku Miejskich Zakładów Komunikacyjnych z dniem 1 lipca podniesiono nagle i gwałtownie, bo z górą dwukrotnie ceny biletów na autobusach, w tramwajach i trolejbusach. Ogólnej sumy jaka będzie ściągana z dodatkowych opłat za komunikację miejską nie ogłoszono. Ale z wcześniejszych informacji o dopłatach skarbu państwa na pokrywanie deficytów tych przedsiębiorstw wiadomo, że idzie tu o kwotę sięgającą miliarda dwustu milionów złotych rocznie.

A więc, zgadza się! To, co jedną ręką

dano włókniarzom i odzieżowcom, to drugą ręką odebrano tym, którzy muszą korzystać z usług komunikacji miejskiej.

„Głos Pracy“, centralny organ krajowych związków zawodowych zamiast protestować przy tej okazji i wystąpić w obronie interesów pracowniczych, bo przecież robotnikom dzieje się oczywista krzywda — stanął po stronie władz partyjno-rządowych. Uznał podwyżki opłat za komunikację miejską za uzasadnione i nieodzowne. Dziennik związkowy nie raczył przy tym zauważyć, że bije to po kieszeniach szerokie rzesze pracownicze. Stwierdził natomiast cynicznie, że spowodowany tą podwyżką opłat komunikacyjnych wzrost kosztów utrzymania nie będzie wyrównany żadną specjalną podwyżką płac.

To samo stanowisko zajął tegoroczny kongres związków zawodowych. Warto tu przy okazji odnotować charakterystyczną wypowiedź komisji kongresowej CRZZ, która w tezach programowych działalności związkowej głosiła: „Wojewódzkie i powiatowe komisje związków zawodowych powinny zwracać uwagę na potrzebę uzdrowienia ekonomiki miejskich zakładów komunikacyjnych. Dotychczasowy nadmierny wzrost dotacji, przyznawanych ze środków państwa dla wielu tych przedsiębiorstw na pokrycie rosnącego deficytu, powoduje uszczuplanie środków na inne dziedziny działalności gospodarczej i społecznej, co w efekcie obciąża ogół ludzi pracy“.

Doprawdy, dziwny to język działaczy ruchu zawodowego i dziwna ich logika! Dopłaty skarbu państwa do uspołecznionej komunikacji miejskiej obciążają rzekomo ludzi pracy! A kogo obciążają podwyżki biletów w tramwajach i autobusach? Czyżby stanowiły obciążenie tych komunistycznych dygnitarzy partyjnych, rządowych i związkowych, którzy nawet dla osobistej wygody korzystają z przydziału służbowych samochodów?

Tu trzeba dodać, że wszystkie wcześniejsze podwyżki płac dla poszczególnych grup pracowniczych także były obciążone równorzędnymi podwyżkami cen artykułów pierwszej potrzeby lub usług. Z tytułu podwyżek przyznanych w r. 1963 zdwojono opłaty czynszów mieszkaniowych, a następnie zmuszono społeczeństwo do kupowania mieszkań w ramach upaństwowionej spółdzielczości. Podniesiono — i to znacznie — opłaty za gaz, elektryczność i węgiel. Wzrasta-

ły przy tej okazji ceny artykułów codziennego użytku.

Podwyżki zeszlóroczne zniwelowano wzrostem cen papierosów, wprowadzeniem opłat za niektóre świadczenia Służby Zdrowia i podniesieniem cen szeregu artykułów przemysłowych. W tym roku czyni się podobnie: za podwyżkę płac dla włóknarzy i odzieżowców płaca użytkownicy komunikacji miejskiej.

Było wszakże szczególnie rażące, że zdecydowano się na ten manewr tuż przed VI Kongresem Związków Zawodowych. Uczyniono tak widocznie dla podkreślenia, że kongres ten nie będzie miał nic do powiedzenia w sprawie poprawy stopy życiowej mas pracujących, bo o tych kwestiach decyduje się w kulisach gabinetów ministerialnych, gdzie zapadają zasadnicze decyzje o bezdusznej polityce płac i cen.

Tak się też stało. Kongres związkowy tylko przytaknął władzom, a masom robotniczym nakazano milczenie.

UKAZAŁ SIĘ

KALENDARZYK KOMBATANTA

na rok
1968

★

najtańszy i najpraktyczniejszy
podarek świąteczny dla każdego

zawiera kilkaset adresów
organizacji oraz instytucyj
polskich w świecie

CENA 6/6

Doskonała książka na nagrody młodzieży w szkołach przedmiotów ojczyznych

ICH MŁODE LATA

JADWIGI OTWINOWSKIEJ

Opowieść o chłopcach z Legionów

Cena: 9/-

„GRYF“ — 171, Battersea Church Rd.
London, S.W. 11.

Czytaj książkę polską

NIE wiem, czy istniał drugi autor w Polsce, którego twórczość byłaby tak powszechnie znana naszemu narodowi, jak poezje Marii Konopnickiej. Nie ma chyba dziecka w kraju, które nie umiałoby na pamięć choć jednej strofy tej poetki, jeżeli nawet nie z wierszy przeznaczonych dla dzieci, to przynajmniej fragment hasła pt. „Rota“.

Początkująca poetka, pisząc swój pierwszy wiersz „W górach“, drukowany w „Tygodniku Ilustrowanym“ w 1876 r., nie mogła przeczuć w najśmielszych marzeniach, czym staną się jej wiersze dla narodu i jak wielką karierę zrobi jeden z nich, — że stanie się nieomal drugim hymnem narodowym.

Z Konopnicką ma się sprawa podobnie jak z Prusem, Orzeszkową, Sienkiewiczem i innymi tak bardzo popularnymi autorami: ich drogi życiowe, walki jakie musieli toczyć, aby żyć i móc tworzyć — były do niedawna krainą szerokim rzeszom polskiego społeczeństwa zupełnie nieznaną.

Ale naród polski robi obecnie „remanent“ swego dorobku kulturalnego we wszystkich dziedzinach życia, remanent z czasów poprzedzających, narzuconą ze wschodu, Polskę Ludową. Książka Moniki Warneńskiej*) jest jedną z pozycji tego remanentu.

Karierę literacką zaczęła Konopnicka bardzo późno, jeżeli można nazwać karierą lata jej borykania się z ciężkimi obowiązkami matki, lata w których przez dłuższy czas twórczości swojej, mało zresztą opłacalnej, poświęcać mogła jedynie godziny nocne, dzień bowiem zajęty był szczerze krzątaniem się koło sześciorga dzieci i prywatnymi lekcjami, z których te dzieci całkowicie utrzymywała.

Sienkiewicz (Litwos), młodszy od niej o cztery lata, był już w okresie owym, kiedy ona wysłała nieśmiało swój pierwszy wiersz do Warszawy, znanym recenzentem, felietonistą i czytelnym autorem listów z Ameryki, nadsyłanych właśnie zza oceanu. Orzeszkowa, starsza zaledwie o rok, drukowała swe pierwsze opowiadania już w 1866 roku, a więc o dziesięć lat wcześniej; w r. 1876 była już autorką szeregu powieści, m.in. „Marty“, która rozślawiła jej nazwisko nie tylko w kraju, ale i za granicą.

Przypuszczam, że gdyby Konopnicka zaczęła swą twórczość od prozy, pochłaniającej technicznie więcej czasu, i gdyby w dodatku otrzymała takie ciągi od krytyków jak Orzeszkowa, nie miałaby dzisiaj Marii Konopnickiej. Jej

*) **Monika Warneńska**. — **Drugie życie Pani Marii**. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza. Warszawa 1966. Str. 631, 3 nłb. 8 ilustracji.

TRUDNE ŻYCIE

skromność, wrażliwość i trudne warunki życiowe nie pozwoliłyby jej iść na przebój. Ale wiersze Konopnickiej miały rym i melodyjność ludowej piosenki i podbiły z miejsca czytelników. Jeden z nich, drukowany w 1878 r. w „Kłosach“, w cyklu „Echa majowe“, stał się ulubionym wierszem wszystkich deklamatorów, rozbrzmiewał na estradach i podczas zebrań towarzyskich. Nikt jednak nie zdawał sobie sprawy, jak dalece był on owocem ciężkiego borykania się z życiem:

„Duch, co tęskni, duch, co płacze,
W tę majową noc,
W ściany klatki swej kołacze,
Więzów targa moc...“

Szczęścia, szczęścia, choćby chwilę,
Przelotną wśród burz,
Co skrzydełka ma motyle,
Znika z blaskiem zórz...“

Choćby tyle, ile rosy
W polnym kwiecie drży,
Wiosno, ziemio, wy niebiosy,
Szczęścia dajcie mi...“

Jakież było życie tej poetki, która błaga wiosnę, ziemię i niebiosa o jedną chwilę szczęścia? Bo życiem właśnie, a nie analizą twórczości Konopnickiej zajmuje się w swej książce Monika Warneńska. Usiłuje zbadać, w jaki sposób los wpłynął na obudzenie się twórczości i jak ta twórczość pokierowała dalej losami poetki.

Dzieciństwo miała Maria smutne. Urodziła się w r. 1842 jako druga z kolei córka Józefa Wasiłowskiego, obrońcy prokuratorii generalnej w Suwałkach. Matką była Scholastyka z Turskich. Maria miała 4 siostry i jednego brata Jana, który studiował później w Liège i pośpieszył w r. 1863 do kraju, aby zginąć pod Krzywosądem. Matka odumarała dzieci wcześniej, a ojciec, nie mogąc przeboleć straty prowadził życie zamknięte. Młodość Marii upłynęła w Kaliszu, dokąd ojciec został przeniesiony z jej rodzinnych Suwałk. Miasto wrzało życiem towarzyskim, młodzi Wasiłowscy byli jednak od tego życia odcięci. Maria spędziła rok w klasztorze Sakramentek na Nowym Mieście w Warszawie, gdzie spotkała Elizę Pawłowską, później Orzeszkową. Przyjaźni między tymi dwiema wybitnymi kobietami nawiązała się jednak znacznie później, kiedy Orzeszkowa zachwyła się wierszami nieznannej jej poetki, Marii Ko-

konopnickiej. Przyjaźń ta została dozgonna i Maria wiele zawdzięczała gorącemu sercu przyjaciółki.

W wieku lat 20 Marychna Wasiłowska została wydana za mąż za Jarosława Konopnickiego, znacznie od niej starszego obywatela ziemskiego, nie mającego żadnych zainteresowań intelektualnych, natomiast wielką skłonność do pniactwa.

Przystojny olbrzym zawiózł swą małenką żonę do stareńkiego modrzewiowego dworku w Bronowie. Tam przeżyła Maria większą część swego małżeńskiego życia, z początku dość nawet szczęśliwego, wśród przyrody, którą kochała, bo miłość miała we krwi, przekazaną jej przez przodków osiadłych od wieków w nadbużańskich majątkach. Otaczała ją ziemiańska przeciętność, żadna zabawa, kuligów, trochę snobistyczna, spoglądająca z pewnym lekceważeniem na córkę „kauzyperdy“, wychowaną w mieście. Na strychu, w królestwie myszy, znalazła młoda mężatka poważną bibliotekę i pracowała pilnie nad ukształceniem swego dziewiczego prawie umysłu. Mąż, zajęty rozjazdami po sąsiedztwie i rozlicznymi procesami, spoglądał z pobłażaniem na to dziwactwo młodej żony.

Wkrótce jednak sielankę wiejską przerwała tragedia narodowa 63-go roku. Młoda kobieta, będąca w ciąży, przeżywa niepokój o nieża zamieszanego w działalność powstańczą i ponosi pierwszy wielki cios — śmierć brata na polu walki.

Rodzi ciągle. Dwóch synków straciła w niemowlęctwie, pozostało jej sześcioro dzieci. A równocześnie poznaje wieś i jej potrzeby, poznaje ludzi, ich tragedie i radości, nie jak dziedziczka ze dworu, ale jak współczująca i ciekawa wszelkich objawów życia kobieta.

Od nianki swej gromadki, młodej Rozalii, uczy się improwizowanych naprędce bajek i piosenek, które uwieczni znacznie później, kiedy piskłeta dorosną i wyfruną z gniazda, w uroczych książkach: „Jak się dzieci w Bronowie bawiły“, „Opowiadania dla Tadzia i Zosi“, „Co Staś widział w polu“, „Zabka Helusi“, „O Janku wędrowniczku“, a nawet sławnej „Bajce o krasnoludkach i sierotce Marysi“.

Podczas swego jubileuszu będzie mogła słusznie powiedzieć:

— Jam się z ziemi, nie z książek uczyła.

Finanse Jarosława stoją coraz gorzej, Bronów trzeba sprzedać i przenieść się

PANI MARI I

B.D.I.C

do mniejszego Gusina, ale i tutaj wra-
stają trudności, a dzieci trzeba kształ-
cić. Maria tłucze się, jak ptak w klatce
w ramach swego ciasnego życia. Pisze
już poezje, kilka z nich drukowano w
czasopismach. Czuje gwałtowną potrze-
bę szerszego oddechu, kontaktu z ludź-
mi o tych samych, co ona zainteresowa-
niach. Decyduje się w końcu zabrać
dzieci do Warszawy, liczy na przyrzec-
zoną pomoc ojca, który po latach wdo-
wieństwa ożenił się powtórnie, ma no-
wą rodzinę i chce rozłożyć opiekę nad
Marią i wnukami. Jarosław ma przysy-
łać żonie produkty ze swego gospodar-
stwa. Niestety, ojciec umiera nagle, Ja-
rosław przyjmuje obojętnie jej zamiar
wyjazdu, cała gromadka wyrusza na
wielki świat i osiada w ubogim mie-
szkanku na Starym Mieście w Warsza-
wie, zdana wyłącznie na pracę Marii.
Oczekiwane produkty nigdy nie nadcho-
dzą. Była dziedziczka gotuje, obszywa
dzieci i biega w wyszarzanej sukni po
prywatnych lekcjach. Po nocach pisze.

Rozstanie z mężem miało stać się
ostateczne. Nigdy już nie zamieszkają
razem, Jarosław nigdy nie zainteresuje
się jej twórczością i sukcesami. Maria
będzie mu potem pomagała finansowo,
kiedy wszystko straci, ale życie oddała
ich coraz bardziej.

Nieszczęśliwemu małżeństwu i umar-
łej miłości poświęci Maria jeden z naj-
piękniejszych wierszy pt. „Kubek“.

„Z jednego kubka ty i ja
Piliśmy onej chwili,
Lecz, że nam w wodę padła iza,
Więc kubek my rozbili.

I poszli w świat i poszli w dal
Osobną każde drogą,
Ani nam szczątków onych żal,
Co zrosnąć się nie mogą...“

Wiersze ubogiej nauczycielki drukują
już „Kłosa“, „Tygodnik Ilustrowany“,
„Bluszczy“. Konopnicka zaczyna intere-
sować sferę artystyczne, literackie i...
towarzystwie. Mnożą się zaproszenia.
Prostota i spokój, to dwie cechy zna-
mienne poetki. Jest nieśmiała i życzliwie
zainteresowanie jej osobą i twórczością
sprawia, że strudzona pracownica roz-
kwita powtórna młodością. Redaktor
„Kłosów“ — Adam Pług — wspiera ją
delikatną pomocą finansową i radą.
Życzliwi radzą zebrać rozproszone po
pismach wiersze i wydać je zbiorowo.
Jest między nimi „Litwos“ (Sienkie-
wicz), który zachwyił się kiedyś jej

pierwszym wierszem. Firma Gebethner
i Wolff zgłasza chęć wydania poezji na-
szej debiutantki. Równocześnie Eliza
Orzeszkowa drukuje w r. 1880 pierwszy
tom poezji przyjaciółki pt. „Z prze-
szłości. Fragmenty dramatyczne“.

I tutaj wybucha bomba. Nieśmiała
poetka nie tylko zna niedole „wolnych
najmitów“ i rodzin robotniczych żyją-
cych i umierających w „piwnicznej
izbie“, ale pociągają ją nadto śmiałe
umysły, buntownicze duchy, które ośmie-
liły się stawiać czoło potężnej tradycji i
powadze Kościoła: uczona grecka Hypa-
tia, anatom Wasaliusz wygnany przez
św. Inkwizycję, Galileusz — pionier
wolnego badania naukowego.

„Litwos“, wypróbowany przyjaciel,
pisze teraz:

„...autorka zaznacza walkę ducha ludz-
kości z powagami, które jego wolność
i polot ograniczają, w szczególności z
powagą Kościoła. Jest w tym widoczna
liberalna nowożytna tendencja, gwoli
której autorka wybiera umyślnie takie
tematy, w których Kościół gra rolę
Arymana, starającego się zgasić świa-
łość Ormuzdową. Temata te przypadły-
by wielce do smaku np. national-libera-
listom sejmu pruskiego, a także libera-
listom z innych stron. Co do nas, uzna-
jemy, że są wysoce niestosowne, zwi-
aszczą w wydawnictwie Orzeszkowej...“

„Fragmenty“ rozpetęły burzę. Sypią
się zjadliwe oceny, insynuacje, oszczer-
stwa. Określa się książkę jako „na
wskróś fałszem przejętą“, myśl jej jako
„beżbożną i bluźnierczą“.

W obronie Konopnickiej występuje
Orzeszkowa, bronią jej Kraszewski i
Świętochowski.

Przyjaciel Pług i Maria Ilnicka, re-
daktorka „Bluszczy“, usiłują ratować
„rozwydrzoną beżbożnicę“. Środkiem ra-
tunku ma być spowiedź w ich obecności
w kościele kapucynów. Upokorzona
poetka ugina się pod presją. Nie może
inaczej: ma do wyżywienia sześcioro
dzieci lekcjami i piórem.

Burza uspokaja się powoli. Maria wy-
syła dzieci do ojca i wyjeżdża na waka-
cje za granicę — po raz pierwszy w
życiu. Będzie przysyłać „Kłosom“ i „Ty-
godnikowi Powszechnemu“ korespon-
dencje, które pokryją koszt podróży. —
Ludzie i krajobrazy — Ischl, Wenecja,
po raz pierwszy widziane morze, Wero-
na, Wiedeń — wszystko to pochłania
Konopnicka, aby dać jak najpiękniejszy,
najbardziej poetycki obraz swych prze-
żyć. Niestety, jest zbyt poetycki. Anto-
ni Sygietyński w „Wędrowcu“ ostro

skrytuje jej „metafory, antytezy, prze-
nośnie i przekładnie“. Tę surową kry-
tykę zapamięta Maria, kiedy zacznie
pisać prozą, zwartą i klarowną.

W r. 1883 Salomon Lewental, właściciel
wielkiej warszawskiej firmy wyda-
wniczej zaproponuje Konopnickiej reda-
gowanie pisma dla kobiet. Ma to być
pismo naukowe, literackie, dążące do
celów humanitarnych. „Dlaczego w ta-
kim razie dla kobiet?“ — pyta Maria
Elizę — nie jest że to zabytek tych cza-
sów, kiedy im podawano wyłącznie dla
nich przygotowane dzieje, literaturę,
filozofię i etykę?“ Ale przyjmuje pro-
pozycję. Zdobywa szereg wybitnych
piór: Kraszewskiego, Orzeszkowej, Le-
nartowicza, Jeża, Dygasińskiego, Gomu-
lickiego, Bałuckiego, Chmielowskiego i
wielu innych. Przez dwa lata będzie
poetka niewolnikiem. Prócz kłopotów
redakcyjnych ma inne obowiązki: od-
wiedza szpitale, instytucje zatrudniają-
ce dzieci, więzienia, zajmuje się ciężki-
mi warunkami kobiet utrzymujących
całe rodziny. Wszystko to znajduje od-
bicie na łamach „Świtu“. „Jest coś prze-
rażającego w obojętności, z jaką patrzy-
my na czynniki społecznego rozkładu“
— napisze. — „Głód, hańba, występ-
ek, nędza — to choroba, która nas wszyst-
kich dotyka...“ Prócz tego zaczyna pi-
sać opowiadania świetną prozą. Jedno
z nich otrzymuje pierwszą nagrodę na
konkursie „Kuriera Codziennego“. W r.
1888 drukuje pierwszy zbiór opowiadań
pt. „Cztery nowele“.

Z dniem 1 kwietnia 1886 r. poetka
astępuje z redakcji i odzyskuje wolność.
Mieszka teraz w starym parku na Fra-
scati i zamierza spokojnie pisać. Nie-
stety, spada na nią ciężki cios. W roku
1890 wybucha skandal, o którym dowia-
duje się szybko cała Warszawa. Nieja-
ką Helenę Konopnicką przychwycono
na kradzieży. Jest to Helusia, ta sama
Helusia, której Rozalia śpiewała w Bro-
nowie piosenki. Udzielała lekcji w za-
możnych domach i kraǳła. Od dłuższego
czasu odnosiła się wrogo do matki. Tar-
gnęła się kiedyś na jej życie. Ma teraz
stanąć przed sądem oskarżona o liczne
kradzieże. 11 lekarzy uznało Helenę za
niepoczytalną z powodu choroby umy-
słowej i została odesłana do zakładu dla
nieuleczalnie chorych w Górze Kalwarii.
Maria jest złamana. Likwiduje zacisne
mieszkanie i ucieka z Warszawy, aby
tulać się po świecie przez długie lata.

A więc Monachium, Zurych, Rappers-
wil, Mediolan, Pawia, Rzym, Neapol,
Capri, Pompea, Sorrento, Genua itd. itd.
W Zurychu spotyka gromadę polskich
nędzarzy, którym udało się uciec z bra-
zylijskiego piekła i wędrują z Marsylii
pieszo na północ, do odległej Ojczyzny.
Maria wypytuje, słucha, notuje w pa-

(Dokończenie na str. 16)

TRUDNE ŻYCIE...

mięci. Z opowiadań tych i studiów dotyczących emigracji do Parany zrodzi się „Pan Balcer w Brazylii“, poemat, który będzie pisała przez kilkanaście lat.

W Zurychu też łączy Maria swój los z losem utalentowanej malarki Marii Dulęby i klepią odtąd wspólną biedę. Jeżdżą trzecią klasą, mieszkają w najuboższych pokojach, jadają nędźnie — i pracują: jedna pisze wiersze, artykuły, przekłady, książkę krytyczno-biograficzną o Mickiewiczu, druga maluje. Często wędrują do lombardu, jeżeli istnieje jakiś wartościowy przedmiot nadający się do zastawienia. Równocześnie w Polsce sława poetki-tułaczki obejmuje coraz szersze warstwy społeczeństwa.

Do kraju wpadnie Maria na krótko na wiadomość o ciężkiej chorobie najstarszego syna Tadeusza. Umrze on na jej rękach. Odtąd będzie zawsze pamiętać, że jest „matką umarłego“. Jest w ciągłym kontakcie z dziećmi i dźwiga ich troski. Mąż Zosi — Bolesław Królikowski — wariuje i po kilku latach umiera. Maria cierpi razem z tą najwierniejszą córką. Najmłodsza — Laura Pytlińska — marzy o karierze scenicznej. Matka boi się o jej słabe płuca, boi się dla niej życia teatralnego, obawia się o trwałość jej małżeństwa, protestuje z całych sił. Z czasem dopiero pogodzi się z tą myślą, niemal u kresu swego życia.

Nie z dziećmi rozumie się Maria najlepiej, wyrosły i oddaliły się, żyją w swoim własnym czasie, który nie jest już czasem matki. Wierna i serdeczna Eliza, towarzysząca tułaczki Dulębianka są jej bliższe w czasie i we wzajemnym zrozumieniu. Eliza czuwa nad Marią z dalekiego Grodna. Ona to organizuje jej jubileusz 25-lecia pracy pisarskiej, „jubileusz od ziemi do nieba“, jak go nazwie Konopnicka. Ona będzie inicjatorką zakupu dla poetki przez naród dworku w Żarnowcu. Nasunął jej ten pomysł list przyjaciółki pisany w r. 1901. „Zazdrościmy Ci bardzo Twego cichego ogrodu i tych kasztanów starych i złotych“ — pisze Maria — „Ja bo zawsze marzyłam o tym, żeby mieć choć jedno własne drzewo. Bo to zdaje się nic, a nic, a to rzecz ogromnie duża mieć takie drzewo i tyle ziemi, ile ono korzeniami obejmie!“

We Florencji zastanie Konopnicką wiadomość o Wrześni, strajku dzieci szkolnych przeciw próbie zlikwidowania przez władzę pruskie ostatniej lekcji w języku polskim — lekcji religii. Sienkiewicz ogłosił odezwę piętnującą przesładowanie dzieci i wezwał społeczeństwo do zbiórki pieniężnej dla ofiar barbarzyństwa. Maria pisze wiersz, który powtarzać będą tysiące ust, organizuje akcję protestacyjną, zbiera podpisy ludzi, organizacji, instytucji, napływające

z całych Włoch, Francji, a nawet z Niemiec.

W 1902 przyjeżdża Maria do Polski na jubileusz, w którym bierze udział całe społeczeństwo, najpierw w Krakowie, potem we Lwowie. Przedstawienia przerobionych na scenę nowel poetki, rauty, udział chłopów podkrakowskich w sukmanach, których przywiedli Lucjan Rydel i Włodzimierz Tetmajer. Mowy, kwiaty, polonez skomponowany przez Żeleńskiego. We Lwowie przemawia Jan Kasprówic, na sali pojawia się jedna z matek wrzesińskich z trojgiem dzieci katowanych przez hakatystów. Ze sceny rozbrzmiewają słowa wierszy i pieśni Konopnickiej...

Eliza nie przyjechała na jubileusz, nie pozwoliła jej na to choroba serca. Ale Maria odwiedzi przyjaciółkę. Będzie to ich ostatnie spotkanie.

Depeza o kupnie dworku w Żarnowcu spadnie na Marię w Paryżu, gdzie przebywa z owdowiałą Zośką. Jest to rok 1903. Jadą więc co prędzej do „własnego domu“. Wręczenie tego daru odbywa się znów uroczysto, z Sokołami, władzami miejskimi, nauczycielstwem, młodzieżą szkolną, kwiatami. Ale dworek leży na uboczu, zbyt daleko dla osoby chorej na serce; jest za duży dla Konopnickiej i Dulębianki, która tu przyjechała wraz z przyjaciółką. Dom wymaga służby, ogród fachowych rąk. Przychodzą znowu trudności finansowe. Wierzyiele Jarosława zwracają się do jego żony, aby pokryła długi jako osoba zasobna w gotówkę po jubileuszu. Własny kąt przyszedł zbyt późno. „Ja się jakoś ani bardzo cieszę, ani przyzwyczaić nie mogę“ — napisze Maria do syna Stanisława. — „Dom dość obszerne, ale nie lubię starych domów, każdy dom ma swoją historię nie zawsze wesolą“.

Jest rok 1905. Wbrew ostrzeżeniom lekarza Maria jedzie do Warszawy. „Co za rok!“ — pisała Orzeszkowa — „Jaki wyroczny, jaki wielki, brzemienny nadziejami i trwogami rok przebywamy!“ Maria odpowiedziała jej wówczas: „Wszystko musi stanąć u mety, w jakiejś rocznej godzinie. Wszystko co jest, umyć z drogi temu, co ma być i będzie.“

Kto zwiózł, kto stał, kto w nieruchomości wierzył — idee, państwa, narody — musi teraz na skrócenie karku dopędzać mety owej, choćby paść(...) Chciałabym doczekać — nie już dnia, ale pierwszego leciuchnego obrzasku sprawiedliwości...“

Maria dociera teraz do kazamatów w Cytadeli. Do rąk więźniów wędruje czysta bielizna, cukier, herbata. W jednym dniu poetka obchodzi 50 nędznych mieszkań: strychy, suteryny, komórki. Ulice: Twarda, Żelazna, Ceglana, Grzybowska za Pocijowem. Notuje rzeczy widziane w stroniczkach pt. „Z wędrowek po więzieniach, fortach i nędzy warszawskiej“. Nie opracuje już ich literacko. Są jak grudki kruszcu w stanie surowym. Nigdy jeszcze nie czuła się poetka tak zespolona z ludźmi Warszawy.

Był to ostatni wielki wysiłek Konopnickiej. „Pan Balcer“ ujrzy światło dzienne w 1909 r. Przedtem jeszcze napisze Maria „Rotę“. Wyjeżdża znów za granicę: Rzym, Abacja, Wiedeń, Praga, Nicea. Wraca do Żarnowca. W maju r. 1910 nowy cios: umiera Eliza Orzeszkowa. Zośka, która wyszła powtórnie za mąż za Adama Mickiewicza, przyjeżdża z Rostowa, aby być w tym momencie z matką. Przybywa także Jan. Odjeżdżają, a zdrowie matki pogarsza się gwałtownie, lekarze wysyłają ją do sanatorium we Lwowie. Pisze do Zofii: „Ostatni zdaje się etap“. Nieustanne zabiegi lekarzy nic już nie mogą pomóc. Twarz obrzęka, nogi są spuchnięte. Kamfora nie wiele pomaga przy atakach duszności. Lekarze wzywają wszystkie dzieci. Przyjechali Staś i Janek, jest i Laura. Zośka chyba nie zdąży z Rostowa. „Jakże bym ja mogła umrzeć?“ — mówi Maria żartobliwie do dzieci. — „Ja bym tam nie wytrzymała! Wyrwałabym się spod ziemi!“.

Zmarła nazajutrz, 8 października 1910 roku.

Umarła dla rodziny i przyjaciół. Nie umarła dla narodu. Dopóki na ziemi polskiej rodzić się będą dzieci, dopóty żyć będzie Maria Konopnicka, nasza najbarziej heroiczna poetka.

Krystyna Brzozowska

Polski sklep WESTERN PROVISION STORES

200, Warwick Road, London, W. 14.

Tel.: 603 6221

Bogato zaopatrzone we wszystkie
artykuły żywnościowe kontynentalne i miejscowe

DOSTAWY BEZPŁATNIE (W NAJBLIŻSZEJ OKOLICY)

Ceny konkurencyjne.

Obsługa szybka.

Czwarty kolejny odcinek szkicu poświęconego przeszłości ziemi i człowieka.

INDO-EUROPEJCZYCY

Ogólnie biorąc, cały okres Neolitu na ziemiach Polski zaznaczył się formowaniem zrębów tego układu stosunków etnograficznych jaki ustabilizował się na długie, nadchodzące czasy, a którego realnym wynikiem było wykrystalizowanie się grupy ludów indo-europejskich. W procesie wyodrębniania się tych ludów i ich rozejścia się po Europie, Azji i części Afryki znaczną rolę odegrał step. Styczność ze stepem pewnych grup ludności Europy Środkowej istniała już dawniej, teraz zaś nabierała szczególnego znaczenia. Przyczynę tego odnajdujemy najpierw w warunkach fizycznych, które w związku z osuszeniem się klimatu, w okresie Neolitu, doprowadziły do rozszerzenia się stepu samego. To „przybliżenie” się stepu oznaczało jednocześnie otwarcie daleko idących dróg na południe i na wschód. Migracje te powstawały najpierw spośród dawnych rolników i pół-nomadów środkowo-europejskich i południowo-zachodnio-europejskich; przodkowie Indoirańczyków zanim stworzyli sobie warunki pozwalające im na rozrośnięcie się w wielkie narody, byli początkowo tylko odłamek Indo-europejczyków odrywającym się od całości. A oderwali się oni od tej części, która następnie dała początek Trakom, Bałtom i Słowianom. Najdawniejsze dzieje Traków wykazują pewne podobieństwa z grupą Indoirańską. W tym wypadku step, jako droga migracji oddalającej od najdawniejszych siedzib, odegrał również poważną rolę.

Po dawniejszym okresie migracji semickich, czy jeszcze dawniejszych chamickich (których tu nie będę rozważał, jako nie dotyczących bezpośrednio ziem naszych), z końcem środkowo-europejskiego Neolitu, przychodzi okres stanowczej przewagi ruchów indo-europejskich. Wyniki tych ruchów nie wszędzie były sobie równe. Najmniejszy wpływ wywarły w najstar-

szych ośrodkach cywilizacji starożytnej, z Egiptem i Mezopotamią na czele. Państwa chamicko-semickie, górujące swym znaczeniem politycznym i organizacją, miały dość sił, ażeby przeciwstawić się wszystkim niebezpieczeństwom i jedynie w chwilach kryzysów wewnętrznych, zagrożenie z zewnątrz stawało się naprawdę poważne. A jeżeli doprowadzało czasem nawet do przewrotów, to jedynie nietrwałych, wskutek przewagi kulturalnej ludności miejscowej. Ludność azjatycka Azji Mniejszej, najstarsza na tym terenie, nie wytworzyła wprawdzie silnych państw, ale opór jej przed asymilacją na swych macierzystych ziemiach był bardzo znaczny. Słabszy natomiast opór ludom indo-europejskim napływającym z Północy stawał wschód irańsko-indyjski, gdzie panujący niegdyś element Dravidyjski, znalazł się w silnym odpywku ku dalszemu południowemu-wschodowi.

Rozmiary ruchów indo-europejskich wymagały znacznej podstawy wyjściowej. Tą, nie mógł być step (jak to do niedawna głosili niektórzy uczeni niemieccy, a za nimi kilku innych historyków), lecz obszary osiadłe, również dla stepu spełniające rolę głównego źródła zasilającego go w ludność. Takie zadanie spełniała Europa Środkowa wobec stepu „wielkiego”, euro-azjatyckiego. Ten obszar „macierzysty” ludności Indo-europejskiej, z grubsza, zamyka się w granicach od Bugu aż gdzieś do Sekwany i górnej Loary. Na południu i na zachodzie granice te wyznaczały kraje zaludnione niezmienne przez Ligurów, a w pewnych czasach też przez Azjanitów, na północy zaś i na wschodzie zamieszkałe przez ludy Fińskie. Na południowym zachodzie tego obszaru, granic fizycznych właściwie nie było, i dlatego rozgraniczenie Indo-europejczyków od Ligurów jest najtrudniejsze. Tu już okres dawniejszych wędrówek Ligurów alpejskich i Śródziemnomorskich na północ aż do obszarów zajmowanych niegdyś przez lodowiec, przyczynił się do zniesienia ostatecznego tej granicy,

a podstawę do tego położyły zmiany klimatu, stającego się cieplejszym i suchszym, czyli usuwającym kolejno lodowiec, tundrę, a w końcu tajgę.

Ruchy ludów wychodzących ze środkowej Europy były więc przygotowane przez przeszłość, nawet odległą, a ostateczne zespolenie się Indo-europejczyków przed rozejściem się i początki ich migracji ku Południowi były już tylko ostatnią fazą tych procesów. W tej ostatniej fazie pewną rolę odegrał koń. Przyczynił się on bowiem do wytworzenia połączeń między Indo-europejczykami, przez co dopomógł do ich większego zwarcia się, a również do przyspieszenia i przedłużenia migracji. Wytworzał także pewną jednolitość najeźdźców indo-europejskich w zestawieniu z ludami starych cywilizacji południowych. W działaniach wojennych nie stał się jednak nigdy powszechnie przez wszystkich Indo-europejczyków używanym zwierzęciem. Większość Indo-europejczyków, a w szczególności wszyscy na Zachodzie, występować będą później jako ludy walczące pieszo, używające konia tylko do celów transportowych, do uroczystości, a w mniejszym stopniu do boju. Tylko stepowi Scytowie i ich następcy zrosną się z koniem na wojnie i w domu. Ten samodzielny wkład Altajskiego Wschodu w postaci oswojenia konia, dającego tak różne korzyści, nie przerwał jednak przewagi wpływów Południa w zakresie najbardziej istotnych składników kultury materialnej, a także i duchowej. Wpływy te, jeszcze w czasie rozpoczynających się ruchów Indoeuropejczyków i nie bez bliskiego z nimi związku wyraziły się najpierw w początkach ery metali, zastępujących stopniowo dawniej powszechnie używany kamień.

EPOKA METALI

Pierwszym metalem, który rozpoznał się w użyciu człowieka, była miedź. Krajem zaś, w którym wyroby miedziane najwcześniej pojawiają się, był Egipt. Znajdowały się tam prastare kopalnie miedzi,

(Ciąg dalszy na str. 18)

które były czynne już w początkach trzeciego tysiąclecia przed Chrystusem, (za 3-ej i za 4-ej dynastii), ale sama znajomość miedzi sięga 4-go tysiąclecia, lub nawet czasów jeszcze dawniejszych. Tak samo 4-go tysiąclecia przed Chr., sięga znajomość miedzi w Mezopotamii, która posiada również bardzo stare kopalnie tego kruszcu. W tym samym mniej-więcej czasie miedź była znana także na Cyprze. Miedź znana jest również Azjanitom, którzy ok. 3.000 lat przed Chr. przenoszą się ze wschodnich wybrzeży Morza Śródziemnego na Zachód, a mianowicie na półwysep Iberyjski, który już w tej odległej epoce zdobywa sobie sławę swymi kopalniami miedzi, zachowaną aż do czasów współczesnych. Prawdopodobnie Azjanitom należy przypisać rozpowszechnienie użycia miedzi we Francji i W. Brytanii. Ta ostatnia obfituje w cynę, której wydobycie prowadzi do nowego, niezmiernie ważnego wynalazku — wynalazku brązu. Z tą chwilą rozpoczyna się w dziejach ludzkości epoka metali.

Znajomość brązu i umiejętność jego użycia do wyrobu narzędzi i broni, wraz z rozpowszechnieniem się nowych (wówczas) środków transportu, jak łodzie i statki (rzeczne i morskie), zwierzęta juczne i pociągowe, wszystko to przyczyniło się do rozpowszechnienia się nie tylko towarów w handlu, ale także nowych pojęć i idei.

Charakterystyczną cechą tego okresu, zwanego epoką brązu, jest widoczne u ludzi ówczesnych zamiłowanie do pewnej świetności zewnętrznej, która wraz z wojowniczością klas przodujących, świadczy o większym skomplikowaniu stosunków społecznych. Nie należy zapominać, że bohaterowie Homera walczyli również brązowym orężem, a blaski epopei greckiej, jak gdyby odbijały się dalekim refleksem w świetnej broni brązowej wielu krajów północnych. Nie wszystkie z nich zresztą odznaczały się tymi samymi wojowniczymi zaletami. Ale i te, mniej wojownicze, wybijały się zasobnością gospodarczą, może nawet większą od wojowniczych sąsiadów. Wyraźniejsze ubóstwo kulturalne i materialne odnajdujemy dopiero na północnym wschodzie, w kulturach miedziano-kamiennych i

brązowych Finów, jakkolwiek i te kultury pozostawały pod odległymi wpływami Południa. Wielką epokę kultur przedhistorycznych przeżywały w tym czasie ziemie Europy Środkowo-Wschodniej, a więc przede wszystkim dzisiejsze ziemie polskie.

Z kultur brązowych, występujących na tych obszarach, do najstarszych zalicza się kulturę określaną nazwą „Unietyckiej“. Na naszych ziemiach zajęła ona obszar południowej Wielkopolski i Śląska. Kultura ta powstała ok. 1750 r. przed Chr. W Europie obejmowała ona dzisiejszą Austrię Dolną, Morawy, Czechy, Turynię, Saksonię i południowy Brandenburg. Wywodząc się z obszarów bogatych w rudy kruszcowe i korzystając z licznych podniet płynących z południowego wschodu, m.in. pośrednio aż z kręgu Egejskiego, kultura Unietycka niosła ze sobą bogaty asortyment ulepszonych i artystycznie wysoko stojących wyrobów brązowych. Część inwentarza narzędziowego (drobne narzędzia codziennego użytku), i broni (topory typu śląskiego, trójkątne lub sercowate grociki do strzał), wykonywano jeszcze z krzemienia, jednak obfitość i różnorodność form metalowych nie pozostawia żadnych wątpliwości, że mamy do czynienia z kulturą, w której metal nie stanowił tylko dodatku, ale był jej zasadniczą częścią składową.

Na północnych i wschodnich periferiach kultury Unieckiej powstał cały szereg kultur lokalnych, podległych w różnym stopniu jej oddziaływaniom, a będących dalszym ciągiem różnych lokalnych kultur Neolitu. Wszystkie te kultury otrzymały w nauce swe nazwy od miejscowości, skąd pochodzą najbardziej charakterystyczne znalezione zabytki.

KULTURY EPOKI METALI

We wszystkich tych kulturach narzędzia wyrabiane z brązu są już w powszechnym użyciu. Natomiast w częściach północno-wschodnich ziem polskich panuje jeszcze wówczas zasadniczo epoka kamienna (1800 do 1500 przed Chr.). Te pokrewne kulturze Unietyckiej grupy kulturowe są znane pod nazwami:

1. kultura Iwieńska (od znaleziska w Iwnie, pow. Szubin).
2. kultura Grobsko-Śmiardowska (od

m. Grobia, powiat Międzybóże i od m. Śmiardów, powiat Złotowski).

Na południu Polski, w krakowskim i w sandomierskim, wyróżniają się też kultury „Tomaszowska“ i „Mierzanowicka“. We wszystkich tych kulturach z Unietycką włącznie, uczeni stwierdzają silne powiązania z dawnymi kulturami Neolitu tych ziem, z czego wynika, że wprowadzenie brązu, i w ogóle metali, dokonało się przy istnieniu tej samej ludności i jej dawniejszych kultur.

W tych czasach powstają na ziemiach polskich trzy charakterystyczne kultury, będące wynikiem mieszania się poprzedzających ich grup kulturowych, przy dopływie elementów zewnętrznych. Są to: —

1. kultura tzw. „Trzcieniecka“, na obszarze całego dorzecza Wisły i górnej Warty wraz z częścią górnej Noteci.
2. kultura tzw. „Przed-Łużycka“, w całym dorzeczu Odry.
3. kultura „Pra-Bałtyjska“, na wschód od dolnej Wisły i na północ od jej dorzecza, na płd.-wsch. brzegu Bałtyku.

Kultura „Przed-Łużycka“, której podstawą była kultura Unietycka z poważnym dodatkiem mniejszych kultur miejscowych, była najbardziej zaawansowana w rozwoju, w porównaniu z innymi, współczesnymi jej kulturami. Wyraża się to przede wszystkim w rozwiniętej, w dużej mierze rodzimej, metalurgii brązu, nawiązującej do form z poprzedniego okresu, częściowo wzorującej się też na przedmiotach wyrobu obcego. Mniej więcej to samo da się powiedzieć o drugiej kulturze tego okresu, kulturze „Trzcienieckiej“.

Na północ od terytorium kultury „Trzcienieckiej“, wyłania się po raz pierwszy w II-gim okresie epoki brązu kultura „Staro-Bałtyjska“. Znamienne dla niej są m.in. brązowe siekiery z rozszerzonym ostrzem łukowatym oraz kamienne topory z obuchem w kształcie żmijowego łebka. Oznacza się ta kultura ogólnie dużym ubóstwem form. W swoim zasadniczym zrębie pozostaje ona jeszcze przez dłuższy czas kulturą końcowo-neolityczną, posługującą się głównie kamieniem do wyrobu twardszych narzędzi.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Jan Pększyć

STRASZNY TEATR W STRASZNYM ŚWIECIE

PRAWDA, „Saga Rodziny Forsythów“ w kinie, na telewizji i w nowym „kieszonkowym wydaniu“, prześcignęła wszystkie rekordy popularności. „Kochany Oktopus“ o trzech pokoleniach i ich drobnych konfliktach na tle wiecznej tej samej spokojnej angielskiej wsi, do której wraca się z pokus wielkiego świata, cieszy się niesłabnącym powodzeniem, mimo a może, właśnie dla swojej staroświeckiej karmelkowatości. Tłumy w dalszym ciągu szaleją za „Skrzypkami na Dachu“, bo jest sentymentalny, oderwany od dzisiejszego życia, nieskomplikowany w swojej ludzkiej problematyce. Słabiutka „Wiosna i Port“ idzie już 2 lata, gloryfikując rodzinę, chociaż tatuś-robotnik to tyran i skąpiec. Ale obok tego teatru ucieczki w przeszłość, w rodzinne więzy, w sacharynową miłość, powstał inny, teatr buntu, nagiej i okrutnej prawdy, obrzucania konwencji. Teatr, który nie sypie w oczy widzów piaskiem taniej rozrywki, nie uspakaja niespokojnych sumień wymierającymi sentymentami, tylko krzyczy na alarm, szokuje, obnaża to najgorsze, które siedzi w człowieku i czeka tylko na odpowiednią okazję, żeby wydostać się na światło dzienne.

Zaczął się w Anglii, od „teatru życia“, zbiorowych reportaży na określony temat jak wojna w Wietnamie („Us“) czy nagonka na komunistów („Sprawa Oppenheimera“). Sztuki Pintera, Osborna, Ortona, Lestera, Bonda i innych młodych gniewnych ludzi, także przestały patyczkować się z widzami, pokazując człowieka z najgorszej strony, tej o której się nie mówi i nie chce nawet myśleć. Gwałt w imię gwałtu, a nie jak kiedyś, z zazdrości, dla ideałów, dla władzy. Seks jako wyraz immanentnej brutalności albo dla interesu, często w krzywym zwierciadle homoseksualizmu czy innych dewiacji. Wandalizm, pornografia, rozpasane nerwy, zło jako chleb codzienny szarych biednych ludzi, oto tematy nowoczesnych sztuk. W większości z tych sztuk jeszcze był jakiś wątek treściowy, jakiś promyk nadziei, ale coraz rzadziej.

Przyszedł teraz do Londynu teatr amerykański, off-off Broadway: „Ameryka, Hurra!“ i grupa „La Mamma“ z kilkoma jednoaktówkami. Dlaczego off-off? Bo zwyczajny off-Broadway kopiuje już dzisiaj teatry na Broadwayu w ich eskapistycznym konformizmie i w schlebaniu gustom szeroki mas, a różnica jest tylko w gotówce, teatry off-Broadway mają jej mniej i dlatego przedstawienia ich usiane są mniejszą

ilością „gwiazd“ i ofiarują skromniejsze dekoracje. Wobec takiej zdrady nowoczesnego teatru przez ongiś postępowy off-Broadway, teatralne grupy zbuntowanej amerykańskiej młodzieży zorganizowały się w off-off Broadway.

Cechy charakterystyczne tych off-off teatru małych form można ująć w trzy pozycje: bardzo ścisła współpraca autora i reżysera czy producenta; gra a często i improwizacja zespołu, bez gwiazd; muzyka i taniec, a właściwie rodzaj pantomimy, które w wielu wypadkach zastępują słowa. Słowa, które zdaniem autorów z off-off Broadway nie są już w stanie wyrazić tego wszystkiego, co gnębi ludzkość wieku super-techniki, politycznej i moralnej hipokryzji, rasowych problemów.

Czy możliwy jest teatr bez wątku dramatycznego, bez pozycji w uznanym sensie tego słowa, niemal bez słów? Teatr ponury i straszny jak wojna, fragmentaryczny, jak odpryski bomb, wyzuty z blichtru dekoracji jak lepianka głodującego nędzarza; zwiastun bezmoralu i beznadziei, jak uderzenie młota w kruchą czaszkę, oparty na takim czy innym akcie gwałcie, niezaopatrzonej w eufemistyczne komentarze. Jak codzienna kronika wypadków. Teatr, który tak różni się od teatru wczorajszego, jak ludobójstwo od wojen Trzech Muszkieterów. Okazuje się, że tak, to już fakt dokonany i teatr ten będzie rozwijał się niezależnie od tego, jaki procent widzów czy krytyków „strawi“ go i przetrawi, a jaki procent schowa głowę w piasek, twierdząc z niedojrzałą naiwnością lub samobójczym uporem, nie rozumiemy, nie chcemy rozumieć, nie widzimy i nie słyszymy.

Teatr off-off Broadway, tak jak eksperymentalny teatr w Anglii i innych częściach wolnego świata, ujmuje w teatralną łupinkę od orzecha tkwiące w człowieku zwierzę. Symbolicznie, abstrakcyjnie, czy w karykaturze pokazuje agresywność jednostek i tłumów, niepokój, napięcia i strachy za wielkiej ilości zgleichschaltowanych ludzi, osamotnionych w walce z własnymi i cudzymi złymi instynktami, uwikłanych w problemy poza ich zasięgiem. W często nieskoordynowanych słowach, które i tak padają w niesłyszające uszy „bliźnich“; w tragicznych strasznych maskach, które nakłada na smutne twarze obłuda społeczna, polityczna czy „święte“ zwyczajne; w aktach gwałtu i zboczeniach, w całej ich nieosłoniętej grozie — wyrażają autorzy i aktorzy tego najnowszego teatru sprawy i odczucia

stanowiące tabu dla „normalnego“ teatru, który zaczyna przy nim wyglądać jak stara babcina kapa, ręcznie haftowana, z koroneczkami, ale anachronizm.

Angielska cenzura zakazała publicznego wystawiania „Ameryka Hurra!“ i jednoaktówek grupy „La Mamma“. Pornografia, powiedzieli, za okrutne, powiedzieli, lepiej nie otwierać żeby szatanowi. Pewno mieli rację: bo przecież pocziwinę Futza krzyżują sąsiedzi, że żył ze świnią, z którą miał 12 „dzieci“; ba „matka“ podaje obnażone piersi do ssania dorosłemu „synowi“ (La Mamma); bo para młodych wandalu w beznadziejny sposób niszczy urządzenie i meble w czystym motelu, wypisując na ścianach jak najbardziej ordynarne i pornograficzne słowa (Ameryka Hurra). Straszne, nie?

Ale, czy co najmniej nierównie straszne są obnażone przez szakale czaszki i piszczele kobiet i dzieci, które schroniły się przed egipskimi bombami gazowymi w niedostępnych pieczarach Jemenu? Albo rosyjskie czy chińskie obozy koncentracyjne, w których umierają ludzie dlatego, że ośmielili się trochę inaczej myśleć? Albo mordy dokonywane przez władze „bezpieczeństwa“ na bezbronnych, w różnych krajach? Albo te trupki dzieci na moczarach, zgwałcone, posiekane, uduszone? A to przecież tylko kilka „kwiatków“ z bukietu ludzkich zbrodni popełnianych na oczach świata, obojętnego na wszystko, co nie tyczy małego, własnego podwórka. Trzywymiarowe zdjęcia tych „kwiatków“ dają nam dzisiejsi dramaturdzy, którzy widzą. A że kwiaty śmierdzą, nie pachną, kto winien, na pewno nie oni.

Trudno sobie poradzić z dzisiejszym stanem rzeczy, który stanowi inspirację zakazanego teatru. Ale z cenzurą teatralną, nie łatwiejszego! Za jedne dwa i pół szylinga. Zakazane sztuki wystawiają kluby teatralne, dostępne tylko dla członków, ale „tymczasem“ członkiem z prawem kupienia biletu wstępu może zostać każdy chętny, za opłatą pół korony. I tak „Ameryka Hurra!“ idzie już od wielu miesięcy przy wypełnionej sali, a „La Mamma“ — w Klubie Międzynarodowym“.

OGŁOSZENIE ZAMIESZCZONE W „ORLE BIAŁYM“ CZYTAJĄ POLACY W 25 KRAJACH ŚWIATA

Zamieszczamy piąty kolejny odcinek pamiętnika opisującego przygody młodej Polki, która postanowiła uciec z miejsca zsyłki w Kazachstanie do kraju.

MARIA WILCZEWSKA

Z KAZACHSTANU

DZIEŃ PIĘTNASTY

Na łóżku spało się nam bardzo dobrze i obudziłam się, gdy było już jasno. Potem przyszła stara, siwa żydówka — z mlekiem i bułką — dla nas. Zapłaciłam jej. A ona o paszport nie zapytała, tylko powiedziała, że PODWODA już stoi przed domem i mój ZNAJOMY czeka na nas. Tak powiedziała: że ZNAJOMY i że CZEKA NA NAS. Jakie to dziwne, że ktoś czekał tu na nas, tu, gdzie nikogo nie znałam i byłam taka samotna. Wysłałam z moim cennym ładunkiem na ulicę: i rzeczywiście stał po drugiej stronie ulicy wóz zaprzężony w parę miłych kasztanów — z dwoma siedzeniami ze słomy, ładnie przykrytymi kolorową derką.

Na tylnym siedzeniu siedział jakiś mężczyzna. Nawet go nie poznałam, bo właściwie, to znaliśmy się po ciemku.

Gdy podeszłam, nie bardzo pewna, powiedział żebym wsiadła z dzieckiem i zabrał po kolei ode mnie najpierw tobolek, a potem dziecko, a ja jakoś nie mogłam się wgramolić, aż furman mi poradził, żeby po dzidzu.

Gdy wreszcie wsiadłam, dziecko już było na jego kolanach.

Teraz w dzień okazało się, że na pewno nie był to żaden duch — tylko komisarz milicji z Władywostoka. Wiem o tym z całą pewnością — bo widziałam jego paszport jak pokazywał na punkcie kontrolnym przed Nową Uszycą. Zatrzymano nas tam i żołnierze legitymowali jego; mną nie interesowali się wcale. Zrozumiałam teraz, dlaczego mnie ani w zajeździe, ani teraz nie pytano o przepustkę.

Dziś był bardziej rozmowny i powiedział, że jedzie na urlop do rodzinnej wioski pod Nową Uszycą, więc możemy pojechać razem. Po chwili dodał, że furmankę wynajął dla siebie i ja nie muszę nic płacić. Nie wyglądałam też wtedy jakbym MOGŁA płacić. Tym razem miał dwie duże walizy ze sobą. Stały obok furmana.

Jechaliśmy szybko w listopadowym słończku. I życie teraz wydawało mi się jaśniejsze. Nie wiem, co tutaj mocniej grzało i świeciło: słońce, czy dobroć człowieka.

Mój mały podskakiwał mu na kolanach i nawoływał na koniki. Furman uśmiechnął się i odsunął trochę, by Jeżyk mógł je lepiej widzieć. I nasz komisarz uśmiechnął się do dziecka, a ja uśmiechałam się do życia. Nie wiem tylko, jak to było z końmi — podobno też umieją się śmiać.

W południe dojechaliśmy do Nowej Uszycy. W szerokiej alei furmanka zatrzymała się. Wsiadłam i podałam rękę mojemu „ZNAJOMEMU“ i życzyłam mu dobrej drogi. „Wsiewo choroszowo“ — powiedziałam szczerze.

Zostałam z małym na chodniku. Furmanka zniknęła na zakręcie i okazało się, że jestem znowu bezdomna, tak jak wczoraj i przedwczoraj było. I że nie wiem, w którą stronę zacząć iść i czy ta ciocia żyje jeszcze, czy mieszka w tym mieście, czy gdzie indziej, a gdybym ją rzeczywiście znalazła, to czy mnie przyjmie na noc do siebie? Wobec tegoostałam sobie trochę na tym samym miejscu, czekając aż nadejdzie ktoś odpowiedni do zadawania pytań. Na szczęście był to dzień. Do wieczora i szukania noclegu bardzo daleko.

Najpierw przeszedł pies, chudy ale raczej z wesoło zakręconym ogonkiem. Tak zainteresował synka, że zjechał z moich rąk na ziemię i pobiegł za nim. Wobec tego musiałam ruszyć z miejsca w kierunku i natknęłam się na jakąś staromodnie ubraną starszą panią w kapeluszu. Bardzo mi to było na rękę. Zapytałam ją, czy zna starszą grażdanek — tu wymieniłam nazwisko. Kazała jej sobie powtórzyć i pokręciła głową — nie znała. Ale oczywiście zaraz zainteresowała się, czy ja jestem obca w tym mieście. Ale przyjaźnie.

Ja zapytałam czy ona tu długo mieszka. Powiedziała, że stale, od urodzenia. Wobec tego spróbowałam opisać moją ciotkę: niewysoka, około 50 lat i bardzo szczupła. (Miałam nadzieję, że nie przybyła na wadze przez te dwadzieścia lat). Gdy nic z tego nie wychodziło, dodałam: to była ziemianka, ona po rewolucji zamieszkała w Nowej Uszycy.

Moja dama zmieszała się bardzo. Obejrzała się w prawo i w lewo i szepetem poradziła mi, bym o tym nikomu w ten sposób nie mówiła, bo choć ludzie tu są dobrzy, jednak doniosą i mogą mieć przykrości i moja ciocia też. Ale pomogło, bo starsza pani przypomniała sobie teraz, że na jakiejś tam ulicy mieszka starsza grażdanek, która przybyła tu za czasów rewolucji. Z nią tutaj synowa i wnuczek. Nazwiska je nie znała. Ale było trochę prawdopodobne, że to była właśnie ciocia i trzeba było tam pójść i sprawdzić.

Podziękowałam i pobiegłam za moim synkiem, który korzystając z mojej nieuwagi, zaczął na własną rękę zwiedzać miasteczko.

Znalazłam tę ulicę — było to niedaleko — i domek, który stał w jakimś zaniedbanym ogrodzie i wyglądał jakby go nikt nie zamieszkiwał. Furtka leżała w trawie, a ścieżka była zarosnięta.

Domek był ukryty w dużych, bujnie rozrośniętych krzakach, pozbawionych liści. Przystanęłam i zastanawiałam się, którzy tu się właściwie wchodzi. Od razu się widziało, że w tym domu nie ma gospodarza. I rzeczywiście — jak dowiedziałam się potem z opowiadania ciotki — mąż jej dawno tu umarł, a syn, gdy dorósł i ożenił się, został zabrany pewnej nocy z tego domu i znikł na zawsze z ich życia. (Z życia ciotki, jej synowej i jego maleńkiego synka).

Tymczasem jakaś gałąź w krzakach poruszyła się energicznie i to była miotła, a to co myślałam, że jest dalszą częścią płotu — to była ciocia. Poznałam ją od razu, tę drobną, szczupłą panią, o gniewnej twarzy. Przerwała zamiatanie ganku i patrzyła nieufnie, co ja tu robię w jej ogrodzie. Była zupełnie siwa, a szara suknia zlewała się z tłem otoczenia i dlatego nie zauważyłam jej przedtem.

Podeszłam do niej i powiedziałam kim jestem. Ciocia milczała i spoglądała na mnie surowo, więc zaczęłam jej klarować, jak to jest ze mną właściwie, i skąd się tutaj znalazłam.

Ciocia, wciąż oparta o tę miotłę, wyglądała raczej groźnie i kojarzyła mi się z czarownicą z mojej dziecinnej lektury. Ale ja wciąż miałam wielkie zaufanie do niej, bo zawsze mi się jakoś zdawało, że ludzie o wyglądzie gniewnym są głęboko dobrzy i aż bezbronni tą dobrocią. A taka twarz, to raczej samoobrona. Coś jakby kolce u jeża.

Stałam więc i patrzyłam z góry na moją małą i groźną ciotkę. Wyglądała wciąż nieustępliwie i jakby nie wierzyła, że jestem jej dawną maleńką siostrzenicą — ta sama co sprzed dwudziestu lat, tylko że podrosłam już nieco od tamtego czasu i sama mam już własne malutkie dziecko.

DZIEŃ SZESNASTY I DWA NASTĘPNE

Wczorajszy dzień zakończył się bardzo dobrze. Krzątamy się teraz z ciotką obie w tym domku. Ciocia promienieje dobrocią i troskliwością o nas, a mój mały bawi się z jej wnuczkiem Józkiem i z całą czeredą sąsiedzkich dzieci.

Początkowo planowałam by tu przeocować tylko, a zaraz wcześniej rano

ić lub, gdyby się udało, to podjechać w kierunku Zbrucza. Ale ciocia, gdy już mnie raz wpuściła do swego domku — to tak szybko nie chciała się ze mną rozstać. A poza tym ogromnie pragnęła mi jakoś dopomóc i sądziła, że będzie mogła to zrobić przez swoją synową, która była szoferką, a spodziewała się jej powrotu tej lub następnej nocy.

Tej synowej, to ciocia obawiała się trochę i nie ufała jej. Z opowiadania cioci dowiedziałam się, że Tatiana (synowa jej była Rosjanką) po zaarrestowaniu i zabraniu jej męża zmieniła się do niepoznania. Z młodej, wesolej i beztrudnej dziewczyny stała się ponurą i małomówną kobietą. Ciocia przy niej czuła się niewesoło. Całe szczęście, że jej synowa mało przebywała w domu. I teraz właśnie, po prawie dwutygodniowych rozjazdach, miała spędzić parę dni w domu.

Tatiana była poza tym aktywną komunistką. Zaplanowałyśmy więc obie z ciocią, że powiemy jej, iż ja mieszkam stale w Kijowie. Tutaj znalazłam się przejazdem, jadąc do Kamieńca, do krewnych w odwiedziny. Ponieważ między Nową Uszycą a Kamieńcem nie było połączenia kolejowego, jeździło się stąd furmankami lub, gdy się udało, to autem, więc Tatiana nie powinna się dziwić, gdy ciocia poprosi ją, by mi mogła dostać się na ciężarówkę idącą w kierunku Kamieńca.

Ten pierwszy dzień u cioci spędziłam — według jej wskazówek — na odpoczynku i odżywianiu się, co było przyjemne. Ale na drugi dzień już mi się to sprzykrzyło i wymknęłam się z tego małego domku na „zwiedzanie“.

Nowa Uszyca była takim sobie zwyczajnym małym miasteczkiem, ale podczas Wielkiej Rewolucji — jako mała dziewczynka — przeżyłam tu parę najstraszniejszych lat mego dzieciństwa.

Zachciało mi się popatrzeć teraz na dom, gdzie znaleźliśmy schronienie po ucieczce ze wsi. Oto okno naszej dawnej dziecinnej sypialni (było nas pięcioro). Przez to okno pewnego ranka wychyliłam się i zobaczyłam tuż przed sobą kołyszące się BUTY. A potem związane sznurem na plecach ręce i szyję na powrozie i dość długie potargane siwe włosy i wreszcie twarz. Nie mogłam odejść — nie mogłam przestać patrzeć i nie mogłam krzyknąć. Wreszcie mnie stamtąd zabrano.

A potem często w nocy przychodził. Miał wtedy taką smutną twarz i otwar-

te oczy i długie wąsy. Wtedy to zaczynałam krzyknąć i budziłam się. Zrestą dość szybko zniknął z moich snów: bo było jednak bardzo ciekawie podczas tej rewolucji: bywały wieczory, że nie zdążyło się jeszcze zasnąć, a już trzeba było wstawać, ubierać się i wybiegać cichutko do ogrodu. Cztery małe dziewczynki otulone chustkami, siedziałyśmy w altance i słuchałyśmy jak rewolucja hałasuje. Wtedy również był listopad. Ogród był ciemny i tajemniczy. Tuliłyśmy się do siebie i byłyśmy niespokojne. I drzewa w ogrodzie były niespokojne, obejmowały się gałązkami i pochylały się ku sobie. Deszcz szeptał z listkami zaścielającymi ścieżki i my szeptałyśmy cichutko i bardzo czekałyśmy, żeby Mamusia wreszcie przyszła po nas i zabrała nas do ciepłego pokoju, gdzie spał nasz braciszek.

Tam dalej stała cerkiew, nieraz zaglądałyśmy wtenczas do niej, bo było tam inaczej niż w kościele. Raz też — pełno w niej było świateł, więc weszłyśmy. Powitały nas trzy otwarte trumny, a w nich ręce i twarze porąbane. Byli to: pani i pan oraz ich kucharz. Żywych ludzi w tym czasie w tej cerkwi nie było. Nikt się nie modlił za nich i nikt nie żałował. Tylko świece pochylały się nad nimi i płakały woskiem. Pobiegłyśmy do domu. A w nocy znowu i pan i pani przyszli do mnie i trzymali te pochylone świece. Kucharza — to zostawili samego w cerkwi.

Potem poszłam na rynek. Podczas rewolucji było to miejsce do wieszania i nam nie było wolno tam chodzić. Ale raz poszłyśmy: wisiąco wtedy trochę ludzi na różnych słupach, a dołem stały puste stragany. Wisiąco kobiety, mężczyźni i jeden chłopiec. I nikt nie miał butów, a chłopiec był taki młody jak ja.

Teraz rynek był jak się należy obsadzony grubo-rozłożystymi kobietami ze wsi. Na straganach było dużo owoców i jarzyn, znalazłam też babę sprzedającą kurkę i babę z masłem i serem w koszyczku. Wróciłam do cioci z tą kurką i masłem i owocami. I powróciłam jednocześnie od tych wspomnień do rzeczywistości. Niepewnej i zagadkowej, jak tamta, dwadzieścia lat temu.

Ciocia oczywiście, przywitała mnie generalnym gderaniem: że nie powinienam kręcić się po miasteczku, gdzie omal wszyscy się znają, i że co byłoby, gdyby zapytano mnie o przepustkę i że powinienam pomyśleć o moim dziecku itd. całkiem jak w domu. Pomyślałam przeto, że przyjemnie jest jednak mieć

kogoś, kto myśli i niepokoi się o mnie. Samo gderanie jest nieważne.

Zabrałyśmy się z ciocią do przyrządzenia obiadu, bo chciałyśmy przywitać Tatianę — królewskim obiadem. — I ugotowałyśmy ten obiad, a potem zjadłyśmy go, a Tatiana wciąż nie było, więc poszłyśmy spać.

W nocy był ruch w domu, przez drzwi słyszałam rozmowę. Pomyślałam, to pewno Tatiana i znowu zasnęłam.

Potem ktoś zaświecił mi lampą prosto w oczy i skojarzyło mi się to z rewizją i tą nocą wyjazdu na Sybir. A to była Tatiana. Stała nade mną i przyglądała mi się w milczeniu i badawczo. A w drzwiach stała niespokojna ciocia. Nie wiedziałam co lepsze, czy przemówić do niej, czy czekać co będzie dalej. Lecz nie odezwałam się — ani ona też. Wyciągnęłam tylko rękę spod pierzyny i zasłoniłam twarz dziecka, bojąc się, by się nagle nie obudziło. Tatiana odezwała, a ja zasnęłam.

(Ciąg dalszy nastąpi)

BILETY

KOLEJOWE, SAMOLOTOWE, OKRĘTOWE

•

Formalności związane
ze sprowadzaniem rodzin
z Kraju
oraz wyjazdy do Polski.

Szybko, sprawnie, tanio

z a ł a t w i a

TAZAB TRAVEL LTD

273, Old Brompton Road,
LONDON, S.W. 5
Tel. FRE 1186

•

MANCHESTER 16
47, Gt. Western St.
Tel. Moss Side 4683

•

BIRMINGHAM 2
39, Corporation Street
Tel. MID 1526

KONKURS „ORŁA BIAŁEGO“

Zamieszczamy dalsze dwie prace nadesłane na KUNKURS „ORŁA BIAŁEGO“, którego tematem był dzienniczek obejmujący siedem dni dowolnie obranego tygodnia i dający autentyczny obraz myśli i przeżyć.

Po ukazaniu się ostatniego dzienniczka redakcja zwróci się do czytelników z prośbą o wzięcie udziału w głosowaniu korespondencyjnym celem wyróżnienia najlepszej pracy. Autorzy dzienniczek ogłoszonych przez nas drukiem otrzymają normalne honorarium autorskie oraz do wyboru 2 z listy 10 książek. Autor dzienniczka wyróżnionego otrzyma potrójne honorarium.

„ROMUALD“

LISTY DO MATKI

MARZEC 19... CZWARTEK

Dziś obudziłem się później, bo w noc tłumaczyłem Malherbe'a. Do obiadu robiłem pranie, ćwiczyłem na gitarze, a po południu udałem się spacerkiem do ministerstwa, gdzie sympatyczny nowy urzędnik zachęcał mnie do pisania jeszcze jednego podania. Mówił: „Nie trzeba zrażać się odmowami“, tym bardziej, że wie z aktów — raz tylko była propozycja kupienia mych obrazów: nie doszła do skutku, bo jestem obcokrajowcem. Potem poszedłem do konsula. Dał mi czasopismo emigracyjne. Dobre i to. Ooooo!? jest konkurs na siedmiodniowy dziennik emigranta. Pomyślałem, że pisząc często do domu — mógłbym podłożyć kalkę pod parę listów pisanych do Ciebie, Mamusięko... Chyba mi wybaczysz afiszowanie mych uczuć. Może się komu przyda, a jak nie — to zostanie wspomnienie pisane na maszynie (bo taki jest warunek przedstawienia prac).

Malherbe (Sur la mort de son fils)
Że syn mój stracił powłokę cielesną,
Mój dzielny syn, którego kochał
wielce,
Tego nie zwodzę ku losu obeldze,
Bo żywot ludzki jest rzeczą doczesną —
Lecz, że z rąk zbirów dwóch, schwytyany
niecznie,
W tragicznej śmierci znalazł
zakończenie —
W tym ból mój nie zna ni krzty
pocieszenia
I wszystkie czucia w mym bólu się
mieszczą

Mój Boże, Zbawco, z rozwagi sumienia
Ma dusza, będąc nie do uleczenia,
Woła o pomstę głosem prawowitym!

Sprawiedliwością mego ducha podnieś.
Tych są synami — wykonawcy zbrodni —
Przez których byłeś do krzyża przybity.

Idąc ulicą powtarzałem ten sonet po francusku, bo go opracowuję na ćwiczeniach dykcji w szkole komunalnej.

W sklepie gazeciarskim spotkałem przypadkowo hr. F. Okazuje się, że był dwa miesiące na Saharze z żoną i jej krewnymi. Gazeciarz uśmiechnął się słuchając opowiadania.

Wracałem do mieszkania odprężony. Przechodząc koło naszego parku podziwiałem nów księżycą nad gałęziami drzew — obsypanych pąkami.

PIĄTEK

Rano, krzątając się przy zdjętej zza okna koszuli, ułożyłem słowa następujące:

Najpiękniejszy zapach po zapachu
kwiatów
Jest ten ze świeżo upranej bielizny
Tylko co odebranej słońcu i wiatrom —
Wnosi wspomnienia Domu i Ojczyzny.

Potem byłem w gminie po odbiór zaproszeń dla pana Doktora. Są już poświęcone. Modliłem się w kościele N. Marii Panny i św. Alicji. Poczułem, że Bóg da ci zdrowie. Po obiedzie ćwiczyłem na gitarze oraz dykcję. Podczas kursu profesorka wyraziła zadowolenie z mej recytacji. Powiedziała mi, że zrobiłem „une grande performance“, lecz przestrzegła mnie przed zbyt nudaśnianiem uczucia, które nie jest zgodne z duchem stylu francuskiego. Po dykcji wracałem mniej wesoło niż wczoraj, bo padał deszcz. Ale za to w radio miałem prawdziwy domowy koncert. Beethoven, wyjątki z „Parsifala“ Wagnera.

SOBOTA

Rano pracowałem przy rysunkach. W południe wpadł pan Wirosteks — ten, o którym Ci kiedyś pisałem, kupiec dalekiego węgierskiego pochodzenia. Oglądał me obrazy i mówił, że powinienem zastosować się do tak zwanej mody, a nie być uparty; podobno ma wzięcie malarstwo abstrakcyjne o solidnie skonstruowanej geometrii z wieloma plamami. Uważam, że podchodzenie w ten

sposób do sztuki jest niestosowne. Uśmiechał się dyskretnie patrząc na tulipan w doniczce. Dziwił się po co mam tyle łóżek w mieszkaniu. Był krótko, bo śpieszył na obiad.

Po południu ćwiczyłem dwie godziny na pianinie w Szkole Muzycznej. Po powrocie gotowałem golonkę w kapuście, będzie na parę dni. Wieczorem gazeta i rozrywki szachowe, które podają co drugą sobotę — bardzo ciekawe — można rozgrywać partie wielkich mistrzów i mieć wrażenie, że się z kimś gra. Dziś padał deszcz, ale miałem uczucie radośnie. Może wróciłaś już ze szpitala, o co proszę Boga.

NIEDZIELA

Dziś jest niedziela palmowa; w południe byłem na sumie w kościele św. Alicji i stamtąd wstąpiłem do parku przećwiczyć w głos wiersz po francusku. Doskonała okazja — dzień mglisty z małą mżawką — park pusty — cichy i można ćwiczyć swobodnie. Dwie pary łabędzi usiadły mokre naprzeciw siebie i czyszczą pióra. Z daleka widnieje sylwetka wyniosła, znajomego z widzenia kolosa, przyjemnego starszego pana, który lubi pogawędzić o tym i o owym z przygodnymi samotnikami. Tym razem rozmawia w ożywieniu z jakimś panem w berecie. Poza tym nikogo więcej nie widać. Od strony odległego ratusza dolatują dźwięki marszów wojskowych, bo dziś z całej dzielnicy schodzą się „majoretki“ w białych spódniczkach na karnawałową defiladę, którą co roku prezentują w niedzielę palmową. Wspominam z czułością jak chadzaliśmy z Tobą po tym pięknym parku i patrzę z przyjemnością na drzewka migdałowe, pod którymi siadywaliśmy na ławeczce.

Białe gołąb kołysze się na cudownej gałązeczce, jak gdyby wiedział, że pa-suje do bladorożowego kwiecia.

Po obiedzie gitara i szachy. Wieczorem — listy.

PONIEDZIAŁEK

Dziś wstałem o 6,30, Przez park do kościoła św. Seweryna, a potem do biura podatkowego złożyć deklarację roczną. W czasie 40 minut czekania w kolejce ułożyłem parę taktów piosenki. Udałem się następnie do pobliskiego Muzeum Botanicznego, gdzie jedliśmy w 64-tym frytki i Ty się śmiałaś z tej przygody... Przygotowują nową wystawę kwiatów i podziwiałem różnorodne gatunki cudownych orchidej. Dalej, idąc pieszo, szedłem do naszego biura podróży i złożyłem zaproszenie dla pana Doktora. Potem do mojej galerii. Pan Lejeune zaproponował mi dorywcze zajęcie w pomocy organizowania następnych wystaw. Zgodziłem się z przyjemnością — zawsze się przyda ten drobny choć zarobek. Przechodząc z galerii do śródmieścia wstąpiłem do ulubionego kościółka św. Magdaleny. W śródmieściu złożyłem klisze kolorowych zdjęć mego tulipana, robionych przeze mnie w ubiegłym tygodniu. Po obiedzie zreperowałem obcasy, które mi się zdarły przez ostatnie marsze. Przybiłem jakoś — nie trzeba szewca. Znów wyruszyłem parkiem — tym razem na dykcję. Dziś była tylko jedna panna, z którą mamy opracowywać poza konkursem sceny Agnieszki i Arnolfa ze „Szkoły żon“ Moliera. Po dykcji szybko na koncert w ratuszu naszej dzielnicy. Uczta duchowa — cudowne dzieci grające na różnych instrumentach. Mój znakomity profesor dał koncert gitary.

WTOREK

Moja najdroższa Mamusieńko,

Dziś pierwszy dzień wiosny i oby Bóg Cię uleczył tą wiosną, utrwalił Twe zdrowie na długie lata i pozwolił latem się spotkać.

Prawdziwie wiosenny dzień. Wczoraj, mimo lektury, długo nie mogłem zasnąć, a obudziłem się wcześniej, jednak nie czuję się zmęczony, wprost przeciwnie. Po skończeniu sprzątania napisałem list do Doktora i poszedłem na pocztę wysłać je wszystkie, żeby doszły na Wielkanoc. Potem wstąpiłem do kościoła św. Alicji, zrobiłem zakupy otrzymując nagrodę za kupno trzech pudełek jaj (oprawę do kluczy z godłem Księstwa Monaco) i wróciłem do domu przygotować obiad. Za piętnaście 1-sza telefon — dzwoni młody hrabia F. i prosi na kawę do jego rodziców na 14-tą. Zjawiłem się punktualnie witając wielkiego podróżnika z Sahary, wzbudzając sympatyczny śmiech jego siostry, zawsze wesołej i pełnej werwy. Skąd taki pomysł — Sahara? Raz tylko widział skorpioną i mieli zapas wody podróży

jąc tylko swymi samochodami. Rzeczywiście — pięknie opalony i przywieźli moc kolorowych zdjęć. Temperatura plus 42°! Po koncercie pani hrabiny (matki) i mojej recytacji Malherbe'a wróciliśmy do mnie i hrabia F. dziwił się, że gram sam jeden w szachy. Lecz po obejrzeniu nieskończonej poprzednio partii doszedł do wniosku, że to może być ciekawe. Po jego odejździe ćwiczyłem na gitarze, a o piątej (po poł.) wyszedłem na ćwiczenie gry na pianinie i patrzę — na dole jest list od cioci Helii. Czytałem idąc przez park — kochany, serdeczny list: w jej niby zwykłym pisaniu jest czar zacnego serca. Nic nie wie, że byłaś zmuszona wrócić do szpitala, pyta się czy byłaś już na operacji oczu w Warszawie, nic nie wiedząc, że to na razie nie jest możliwe. Ćwiczyłem na pianinie do 19,30 — wracałem drogą około kościoła św. Zuzanny. Był już zamknięty. Wysoko nad prostokątami — księżyc. Zawsze wspominam, jak chodziliśmy z Tobą na sumę. Oby Bóg pozwolił znowu...

(z niewysłanego listu)

Wytworny kielich tulipana, który mnie cieszył cały miesiąc swą purpurową barwą, zaczyna więdnąć. Do woni leddwo wyczuwalnej — jemu właściwej — dołącza się inna — uschniętego siana. Ale łodyga i liście są świeżo zielone i cieszą się życiem pośród innych roślinek w doniczce. Na szczęście kiełkuje i ma już parę centymetrów wysoki gladiolus, któremu nie wrócono życia w doniczce. Niech rośnie i niech zakwitnie na Twój przyjazd, Mamo, jak wielonutowy akord wysokiej skali. Gdy zgasze światło po napisaniu tych słów zbudzonych nocą — znowu księżyc oświeci roślinkę w doniczce i bezdźwięcznie dotknie strun gitary. Niech pozdrowione będzie życie. Niech pozdrowiona będzie

Wielka Matka, która jak lwica walczy o szczęście swego dziecka. Sama słaba, schorowana, a jednak tak silna — mocą miłości i promiennością Swego Serca. Kiedyś, jak byłem małym chłopcem, śmiałem się gdy mówiłaś, że walczyłybyś o swe dzieci jak lwica. Niedobry byłem — nie z winy świadomości, lecz z braku świadomości, że można być bohaterem drząc i obawiając się...

ŚRODA

Od wczesnego ranka miałem natchnienie i wróciłem do przerwanej pracy nad portretem K.R. Dobrze mi się malowało prawie do 14-tej. Posiłek. Potem do domu towarowego, gdzie złożyłem prospekty na konkurs jajowy (można niby wygrać auto). Następnie wstąpiłem do kościoła św. Alicji na krótką modlitwę o Two zdrowie. W Szkole Muzycznej prócz normalnej lekcji przedstawiłem profesorce kilka urywków własnej kompozycji. Powiedziała, że powinienem wydawać i brać dobre pieniądze. Łatwo powiedzieć, ale do tego długa jeszcze droga.

Profesor gitary był smutny, choć mile i skromnie się uśmiechał gdy wyraziłem swój zachwyt z powodu jego sukcesu na ostatnim koncercie (zresztą mają je zawsze). Okazuje się, że jego żona uległa wypadkowi pęknięcia obojczyka. Nieuważny rowerzysta potracił ją i upadła z fatalnym skutkiem. I oto nie mogą jechać po słońce na południe, muszą tu zostać w czasie świąt. Tak jest w życiu, że i niewinni często cierpią.

Jutro, w Wielki Piątek, powstrzymam się od pokarmów i palenia. Całuję Cię niezliczone razy.

Twój kochający Cię syn,

Romek

SZYBKIE PRZEKAZY PIENIĘŻNE

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO

Przesyłki Wolne od Cła

Paczki „Do Wyboru“



HASKOBA LTD.

81, Cromwell Rd., London, S.W. 7. —

Tel. FRE 7888

Ł Ó D K A

W pewne czerwcowe popołudnie przed nasz dom zjechał pocztowy wóz i przywoził łódkę. Była to: „Łódka w prosku“.

Wniesiono ją w paczkach. Były rozmaitego kształtu. Niektóre zadziwiająco długie. Było tego sporo. Szofer nosił i nosił, a tę najdłuższą to ja mu pomagałam, bo był sam i nie mógł sobie z nią dać rady.

Potem odjechał, a ja zostałam w korytarzu przed stosem paczek. Byłam w domu sama. Zawsze jakoś jestem SAMA, gdy jakieś problemy wykwitają.

Miało TO nadejść jeszcze w kwietniu. Już na Wielkanoc mówiło się u nas o łódce. Nasz syn chciał mieć swoją własną żaglówkę. I chciał, oczywiście, żeby to zbyt wiele nie kosztowało — co było zrozumiałe — bo nigdy jakoś — nie ma się nadmiaru pieniędzy. Postanowił więc, że sam ją złoży z części. Postanowił ponadto, że zrobi to w domu.

Nic nie stało na przeszkodzie: w kwietniu są u nas wszystkie pokoje wolne. Sezon rozpoczyna się dopiero w czerwcu.

Możesz to robić w parterowym pokoju — powiedziałam — stamtąd będzie ci łatwo wynieść ją na ulicę. Mam nadzieję, że da się ją wynieść przez drzwi — tak jak się meble wynosi — zapytałam z pewnym niepokojem. Zapewnił, że tak. I że z łódką w domu nie będzie żadnego kłopotu. Zrobi się ją w kwietniu, a w maju żeglować już będzie po morzu.

Dziś jednak był 13 czerwca i pokoje były już pozajmowane i korytarz również był dla gości. Łódka więc w tych paczkach powędrowała do naszej sypialni. Był to jedyny pokój w domu pozostawiony w lecie do naszej wyłącznej dyspozycji.

SOBOTA

Wczoraj wieczorem przyjechali mąż i syn. O tym, że łódka jest już w domu wiedzieli, i syn zaraz po kolacji zaczął ją rozpakowywać. Papiery rzucał w kąt, a części łódki rozkładał na podłodze. Zajęło to całą podłogę i uprzedził nas, żeby na razie do pokoju nie wchodzić. Nie wchodziliśmy, ale w końcu, gdy program telewizyjny zakończył się, to weszliśmy. Zastaliśmy przygotowaną szeroką ścieżkę, po której dość wygodnie przeszło się do łóżka. Resztę podłogi pokoju wypełniło to, co miało być kiedys łódką.

Dziś przy śniadaniu mówiło się tylko o łódce. Syn mówił, a my słuchaliśmy.

Dowiedzieliśmy się wielu ciekawych rzeczy o montowaniu łódki i oglądaliśmy prospekt, który informował, że jest przy niej tylko 100 godzin pracy dla jednej osoby. Dowiedzieliśmy się też, że ta łódka, która znajduje się obecnie w naszym pokoju, będzie zmontowana w znacznie krótszym czasie, bo będą przy niej pracowały 4 osoby. Koledzy przyjadą dzisiaj — dodał. Wyraziłam mój entuzjazm, że łódka będzie tak prędko zmontowana i zapytałam z niepokojem, gdzie będą nocować, bo wszystkie pokoje u nas były już wynajęte i do naszej dyspozycji rodzinnej mamy pozostawiony tylko ten jeden pokój. Z nimi nie będzie żadnego kłopotu — wyjaśnił — mają namioty, rozłoży się je na trawniku za tarasem.

Sobota jest u nas dniem przyjazdu nowych gości — i do południa byłam bardzo zajęta. Gdy już skończyłam z gośćmi, musiałam pomyśleć o domownikach: pójść po zakupy i ugotować obiad. Wstąpiłam do naszego pokoju, by się przebrać. Było ich teraz przy łódce już czworo. Koledzy syna byli różnej płci. Nie chciałam przeszkadzać, żeby im się co nie pomylilo w składaniu, powiedziałam tylko halo — i ostrożnie dotarłam do szafy. Przebrałam się w łazienkę, a potem wróciłam jeszcze po torebkę. Pomagali mi szukać. Znalazła się. Była pod tymi papierami od opakowania. Chciałam się jeszcze przyczesać i upudrować, ale do toaletki nie dało się dojść — i jakoś się obeszło.

NIEDZIELA

Przyjemnie jest w niedzielę troszkę dłużej położyć. Mieliśmy jednak zapowiedziane, że od szóstej będą pracować przy łódce. Żeby nie zasnąć, nastawiliśmy budzik i już przed szóstą siedzieliśmy w sypialni: piliśmy herbatę w oczekiwaniu jakiejś możliwej pory na śniadanie. Twórcy jednak tej łódki zasnali i przyszli dopiero około dziewiątej, właśnie na śniadanie, a do łódki zabrali się w dobrą godzinę później. Dziś mieli do czynienia ze śrubkami, słychało się to od razu w całym domu. Cieszyłam się, że Pan Bóg był tak dobry i dał nam słoneczną niedzielę. Wiadomo, gdy jest słońce i upał, to goście są cały dzień na plaży. Mąż również poszedł nad morze. W domu byłam ja sama, no i oni z łódką.

Dobrze jest od razu wyjaśnić, że składanie łódki przez pierwsze 50 godzin jest połączone ze stukaniem (o czym prospekt dołączony do łódki jakoś nie

wspomniał). Następne zaś 50 godzin jest połączone z czymś innym, gorszym od stukania, o czym napiszę.

Tym przy łódce dobrze się dzisiaj pracowało. Już słońce zaszło, dom napełnił się gośćmi, a z naszego pokoju rozlegało się echo ich pracy. W końcu jednak ucichli i poszli się przejść. My z mężem weszliśmy teraz do sypialni i podziwialiśmy to, co leżało przed nami i w przyszłości miało być łódką; było to jeszcze bardzo płaskie, ale przy odrobinię wyobraźni, można było sobie uzmysłowić, że jest to niewątpliwie łódka. W każdym razie TO było niemożliwie długie. Dziobem tkwiło w zachodnim rogu pokoju, a rufą we wschodnim. Lub odwrotnie. Mogłam się mylić, bo w tym dniu rufa nie różniła się jeszcze od dzioba.

Mąż cały dzień spędził na plaży, pukania nie słyszał, więc był w wyśmienitym humorze. „Pracowicie spędzili tę niedzielę“ — zauważył. A potem: „początek zawsze bywa najtrudniejszy“ — dodał. Chyba tylko dlatego, że już upłynęły dwa dni, a łódki właściwie nie było jeszcze widać. „Reszta to im prędko pójdzie“. Był wyraźnie w nastroju optymistycznym. Ja spędziłam tę niedzielę w domu, więc uśmiechnęłam się melancholijnie nie chcąc gasić jego dobrego humoru. Potem poszliśmy na kolację i program telewizyjny był dobry i wyglądało, że niedziela skończy się miło. O jedenastej poszliśmy spać.

Pod naszymi oknami na trawniku tkwiły namioty, ale puste. „Mam nadzieję, że cicho przyjdą i nikogo nie zbudzą“ — pomyślałam zasypiając.

Przed dwunastą przyszli i starali się być cicho, ale nie bardzo im się to jakoś udawało. W końcu zasnęłam. Najgorzej, że mąż się zbudził i ten dobry humor mu przeszedł.

PONIEDZIAŁEK

Wstaliśmy oboje wcześniej, bo mąż wyjeżdżał do Londynu. Żegnając się ze mną (tamci od łódki jeszcze spali), wyraził nadzieję, że gdy przyjedzie na następny weekend łódka już będzie się znajdowała na właściwym miejscu — miał na myśli we wioślarskim klubie — lub na wodzie.

Serdecznie dziękujemy czytelnikom i przyjaciółom „Orla“, którzy nadsyłają nam interesujące wycinki z innych pism.

REDAKCJA

WTOREK

Łódka stała teraz na podpórkach i wielkością przypominała okręt. Mimo, że wciąż stukano przy niej, to ilość śrubek czy gwoździ jakoś nie malała, lecz przeciwnie, rosła. Mieszały się duże śrubki z małymi. Wciąż się czegoś szukało, więc rozsądnie zdecydowano w końcu pozbiierać je z podłogi i umieścić je w jakimś jednym określonym miejscu. Najodpowiedniejszym miejscem okazało się nasze łóżko. Stało ono w pobliżu łódki, a dokładnie się wyrażając, to stało teraz akurat pod łódką, bo łódka w tym okresie górowała nad meblami. Tylko jedna szafa przewyższała ją wzrostem. Zresztą wszystkie pomniejsze meble — w miarę rozrostu łódki — były kolejno usuwane z pokoju. Zostało więc to łóżko i ta szafa, a w drodze wielkiego wyjątku pozostawiono toaletkę. Została na wyraźne życzenie kolegów płci żeńskiej, które stanowczo orzekły, że muszą od czasu do czasu z niej korzystać, bo w namiotach nie mają odpowiedniego lustra. Bardzo im byłam wdzięczna i również z niej korzystałam czasami.

Na łóżku leżała kapa, a na niej te śrubki. I rzeczywiście, odtąd się nie gubiły. Jeśli się jakaś zarzuciła, to trzeba było troszkę poczekać, a zawsze się znalazła. Bo te, które gdzieś zapodziały się w dzień, ja nieomylnie odnajdywałam w nocy. Nie miałam jakoś w sobie nic z fakira i nie umiałam sypiać na nich. Każdą wyczuwałam pod sobą. Budziłam się wtedy, zapalałam światło, zbierałam je i układałam we właściwym pudełku. Cieszyłam się przy tym, że mąż śpi teraz w Londynie.

ŚRODA

Dziś pod wieczór ucichło stukanie. Śrubki i gwoździe były mniej więcej wszystkie umieszczone już w łódce. Twórcy jej posiadali rzędem na łóżku i podziwiali wykonane dzieło.

Potem zjedli kolację i poszli się przejść. Wrócili późno w nocy i długo w namiotach dyskutowali na temat imienia dla łodzi.

CZWARTEK

Trochę się jeszcze kręcili rano przy łódce. Potem poszli na plażę i siedzieli tam do wieczora. Dzień ten spędziłam ja sama z łódką. Naprawdę polubiłam ją i zachwycałam się jej pięknnością. Wiedziałam już, gdzie ma dziób, a gdzie rufę (wyjaśniono mi to). I powiedziano mi też dziś, jak się ta łódka teraz nazywa. Dumnie i pięknie: KAPITAN SYLVIA. Dziewczyna — jeden z kolegów płci żeńskiej — uprzejmie zgodziła się użyć jej swego imienia.

Sądziłam, że następnego dnia łódka wyjdzie z naszej sypialni i malowana

będzie w klubie, więc żegnałam się z nią tej nocy we śnie: śniło mi się, że pływam w niej, siedząc twarzą do rufy, to znaczy w kierunku szafy i proszę mi wierzyć, że nawet kołysało trochę. Było to jeden tylko raz, gdy we śnie popływałam nią trochę. Potem, gdy ta łódka naprawdę żeglowała po morzu — to nigdy już w niej nie siedziałam. Pływała nią natomiast Sylvia, to znaczy prawdziwy kapitan tej łódki.

PIĄTEK

Przy łódce pracowano od rana. Przyjemnie też było, że nie hałasują. Do pokoju nie zaglądałam. Nie chciałam przeszkadzać. — Po południu przestali i wyszli. Tego dnia nie powrócili już do łódki. Potem ja weszłam do pokoju i zaraz wyszłam. Chciałam też nie wrócić, ale musiałam. — Wieczorem, gdy mąż przyjechał z Londynu, razem weszliśmy do pokoju. Mąż od razu zauważył, a właściwie, to WYCZUŁ: „śmierdzi tu jak cholera“ — powiedział i spojrzał ponuro na łódkę.

Okazało się, że pomalowali ją jakąś zaprawą i gdy skończyli, poszli odetchnąć świeżym powietrzem. W nocy, w namiotach, też nim oddychali. My nie. My tu oddychaliśmy tym, co wydzielala ta łódka. Żeby było łatwiej wytrzymać, pootwieraliśmy wszystkie okna oraz drzwi na taras.

Przez te otwarte drzwi, sąsiedzkie koczury zaczęły odwiedzać w nocy łódkę. To trochę odmieniło jej woń, ale nie na lepszą.

Nazajutrz — mąż przypomniał sobie, że ma jakąś pilną pracę w Londynie i zaraz po śniadaniu odjechał.

Twórcy tej łódki spędzili cały weekend u nas: nocę w namiotach, a dnię na plaży. W niedzielę wieczorem przyszli się pożegnać. Syn również z nimi odjeżdżał. — A łódka? — zapytałam. Łódkę będzie się malowało raz jeszcze. Podczas następnego weekendu. — A dlaczego nie pomalujecie jej już w klubie? — nie ustępowałam. Spojrzeli na mnie z pobażaniem: w klubie może być wilgoć. Łódka powinna być malowana w suchym pomieszczeniu. Wilgoć mogłaby jej zaszkodzić.

Żałowałam, że u nas w pokoju nie było wilgoci. Nie było innej rady — zostałam sama z łódką. MNIE — jakoś to nie zaszkodziło.

EPILOG

Łódka stała jeszcze przez trzy tygodnie w naszym pokoju. Była trzykrotnie malowana — podczas weekendów właśnie. Rzeczywiście, tanio kosztowała, a nawet zarobiło się przy niej trochę: w owe weekendy mąż nie wracał do domu: pracował nadliczbowo. Mówił też, że mu to zdrowiej, niż spać przy tej łódce.

W sierpniu żaglówka wypłynęła na morze. Przykro mi nawet wtedy trochę było, bo przyzwyczaiłam się jednak do niej.

Dziewczyna o tym imieniu — ta już została. Rok minął od tej chwili. I ja też kiedyś polubię...

Łódka żegluje po morzu. Dowodzi ją Kapitan Sylvia. Przejemnie jest chyba być kapitanem żaglówki? — albo cze-
gokolwiek kapitanem w ogóle — pomyślałam sobie — i postanowiłam też

podpisać się pod tym
KAPITAN MARIA

Co wysłać teraz?

Po co pudłować skoro poinformuje najlepiej najnowszy biuletyn TAZABA ★ ★ ★ (TRZY GWIAZDY)

„POLO“ bluzki, z kołnierzykiem lub „Golfy“? Ortaliony? Jeżeli — to tylko dobre i z wszystkimi „szykanami“ bo dobry gatunek najlepiej się oplaca.

OSTRZA do golenia „Gillette Super Silver“, kalkulujące się u TAZABA: £1 ca: 500 zł., sprzedają się „jak bułki“ po 12—15 zł. za sztukę (cio 75 gr. za sztukę). Łącznie z wysyłką: 50 szt. 29/6; 100 szt. 55/-; 500 szt. £12,15.0; 1000 szt. £22,15.0.

Biuletynami ★ ★ ★, najnowszymi cennikami najbardziej aktualnych leków angielskich, niemieckich, szwajcarskich i doświadczeniem 20 lat służby

Największy na świecie Polski Dom Wysyłkowy

TAZAB

22, ROLAND GARDENS, LONDON, S.W. 7.
100 EAST 10th STREET, NEW YORK,
TEL. ALGONQUIN 4-4161

20 RUE LEGENDRE, PARIS 17e. — TEL. WA. 3-0827

Magia albumów historycznych

LEŻĄ przede mną te białe, tak pięknie przez Skarb Narodowy wydane zeszytiki i już cieszy mnie sama myśl, jaką radością i pomocą one będą w życiu polskiej młodzieży emigracyjnej. I to nie tylko młodzieży. Bo czerpać z tego bogactwa wskazówek i rad mogą wszyscy. Dzieci, żeby się uczyć, starsi, by przypominać.

Nazwisko autorki mówi samo za siebie. Redagowany przez nią dział „Tygodnia Polskiego“ pt. „Co Tydzień Dzieciom“, jest najlepszym dowodem zasług i tak owocnych poczynań p. Mękarskiej-Kozłowskiej. Jakże często i my starsi, zaglądamy do tych opowiadań z przeszłości, by znaleźć w nich temat do rozmów z dopytującymi się o dzieje Polski przyjaciółmi innych narodowości.

Pociągnięta estetycznym wyglądem tych ośmiu Albumów, zaczęłam ciekawie zapoznawać się z ich treścią. I już nie mogłam się od nich oderwać, dopóki nie doszłam do ostatniej strony.

Rzecz prosta, że są one przeznaczone do użytku dzieci i młodzieży i do nich to zwraca się generał Anders w pięknym i tak bardzo wymownym w swej zwięzłości przedśłowiu do „Albumów“: „... Niech służą pomocą w nauce, zdobywaniu wiedzy, a dzięki niej, niech służą Ojczyźnie.“

Sądzę jednak, że i nam, dawno już z lat dziecięcych wyrosłym tułaczom emigracyjnym, mogą te urocze Albumy być cennym drogowskazem, pomocnym w odnajdywaniu historycznych szlaków, często już przesypanych pyłem codzienności.

Imponująca rozmiarami bibliografia, na której autorka opiera treść swoich Albumów, jest najlepszym dowodem, na jak solidnych podstawach są one zbudowane. Umieszczona we wstępnym albumie „Tabela Pomocnicza“, jest jakby złotym kluczem otwierającym skarbice wiedzy dalszych albumów.

Zresztą już sama „Tabela“, mimo że mieści się na niecałych czterech kartkach, może być źródłem radości dla każdego miłośnika historii. Przejrzyście i planowo uszeregowana w trzech działach: — Dzieje Powszechne, — Historia Polski, oraz — Dzieje Kultury Polskiej — obejmuje ona okres od połowy wieku X aż po dni dzisiejsze i będzie miała

„Albumy Historyczne“. Opracowanie i redakcja B. Mękarskiej-Kozłowskiej. Seria I. Wydawca Skarb Narodowy. Gafika: J. Chrzanowska, G. Legeżyński, A. Stockbridge. Cena 15 sh.

pomocne zastosowanie zarówno do tej pierwszej, jak i do następnych serii albumów.

Choć w sprawie tej niezmiernie ważnej Tabeli poświęcałam stosunkowo niewielką ilość wierszy, chciałabym tu zaznaczyć, że dla mojej własnej przyjemności studiowałam ją długo i uważnie, co też gorąco polecam wszystkim młodszym i starszym czytelnikom, gdyż otwiera ona przed nami dalekie i często nieznane horyzonty.

Zapoznawszy się pokrótce z Tabelą, możemy teraz z kolei zająć się treścią siedmiu następnych albumów. Już zaraz pierwszy z nich, zatytułowany „Na Polach Bitew“, oprócz krótkiego opisu kilku ważniejszych wyczynów polskiego oręza, budzi też zainteresowanie młodych czytelników umiejętnie wykonanymi rysunkami, które uzupełniają również treść wszystkich następnych zeszytów. Pozostawione na każdej stronie wolne miejsca, zachęcają do notowania na nich własnych uwag.

Właściwie można by jednym, entuzjastycznym zdaniem, objąć wszystkie te urocze i tak celowe albumy, zapewniając czytelników, że każdy z nich, bez względu na datę urodzenia, znajdzie tam podjętą do rozszerzenia swych wiadomości o historii Polski. A że jesteśmy przekonani, iż cała nasza emigracja zapozna się z ich treścią, więc tylko telegraficznymi skrótami uwypuklimy najbardziej znamienne rozdziały. Z albumu „Pod Dachem“, dowiadujemy się „Jakie na ziemiach naszych, od czasów najdawniejszych wznoszono budowle“, żeby następnie znaleźć się „Na Kresach“ wschodniej Rzplitej, a idąc „Z Biegiem Odry“ będziemy mogli dowiedzieć się nieco szczegółów o ziemiach Zachodnich, które tak ważne zajmowały miejsce w dziejach naszej przeszłości. Z następnego albumu „Nasze Znaczki“, zaczerpnemy wiadomości o dawnych chorągwiach polskich, a „Orły Polskie“ powiedzą nam o dziejach naszego państwowego godła. Treść albumu o „Akademii Krakowskiej“, jest jakby tryumfalnym akordem, kończącym pierwszą część symfonii o Polsce.

Cały układ Albumów, wszystkie podane tam rady i wskazówki, świadczą o gruntownej znajomości psychiki dziecięcej, której p. Mękarska-Kozłowska niejednokrotnie dała dowody. A że zbliża się okres podarków gwiazdkowych, mamy nadzieję, że Albumy Historyczne znajdą się wśród najmiłszych darów, złożonych pod choinką.

Księgarnia S.P.K.

20, QUEENS GATE TERRACE,
LONDON, S.W. 7.

Anders Władysław
BEZ OSTATNIEGO
ROZDZIAŁU 35s

Sosnkowski Kazimierz
MATERIAŁY
HISTORYCZNE 63s

Rudnicki Jan
SŁOWA A CZYNY 65s

Narbut-Łuczyński J. A.
U KRESU
WĘDRÓWKI 52/6s.

Korboński Stefan
W IMIENIU
RZECZYPOSPOLITEJ 63s

Nowakowski Zygmunt
WIECZORY
POD DĘBEM 42s

Tomkiewicz Mina
BOMBY I MYSZY 35s

Grabowski Zbigniew
OJCZYŻNA EUROPA 50s

Kuniczak W. S.
THE THOUSAND
HOUR DAY 42s

Korboński Stefan
WARSAW IN EXILE 42s

Przesyłka każdej książki 4s.

ŚRODKOWY WSCHÓD: Że rozejm czerwcowy, narzucony przez O.N.Z. i bezcelowość dalszej walki, nie będzie w pełni respektowany, można było przewidzieć. Istotnie, już w kilka tygodni po jego zawarciu zaczęły się mnożyć utarczki i pojedynki artyleryjskie wzdłuż kanału sueskiego i rzadziej, nad Jordaniem, ale one jeszcze nie groziły dojściem do ponownej konflagracji, jak długo Moskwa nie zdecydowała się na wznowienie masowych dostaw sprzętu — zwłaszcza do Egiptu, mimo zmarnowania poprzednich. Niestety, posłała na tę niepewną inwestycję, wzmocnionym wpływem lepiej ją zabezpieczając i kładąc główny nacisk na odbudowę zdziesiątkowanego lotnictwa arabskiego. Podług ocen amerykańskiego wywiadu, stan lotnictwa egipskiego osiągnął w końcu października już niemal jego liczebny pułap z maja, a pod względem jakości sprzętu nawet go przekroczył, bo w miejsce zniszczonych starych „Mi-15 i 17” nadeszły nowocześniejsze „Mi-19 i 21” w ilości 150 oraz trzy dodatkowe eskadry bardzo szybkich „Suchoj — 7”. Niezależnie od tego zwiększono kontyngent szkolonych za żelazną kurtyną lotników egipskich do 600 i zasilono lotnictwo syryjskie, a zwłaszcza irańskie nowoczesnymi „Migami”.

Te dostawy, uzupełnione dostawami sprzętu pancernego, piechurskiego i artyleryjskiego, rozzuchwialiły zwłaszcza Egipcjan. Tym bardziej, że mocarstwa zachodnie nadal stosowały embargo na broń dla obu stron i ich floty trzymały się zdala od wybrzeży izraelskich i arabskich, gdy nowa, śródziemnomorska flota sowiecka, mająca swą bazę w syryjskiej Latakii, raz po raz zawijała do Port Saidu lub Aleksandrii. To ośmieliło Egipcjan do ostrzelania w nocy z 21 na 22 października bez ostrzeżenia i zaptopienia trzema celnymi rakietami „Osa” izraelskiego torpedowca „Eilat”, znajdującego się bodaj w odległości 13 do 14 mil od Port Saidu, a więc poza egipskimi wodami terytorialnymi. Izrael pomścił stratę tego okrętu i 1/5 jego załogi, nie licząc 48 rannych, przez skuteczne zbombardowanie największej egipskiej rafinerii ropy w Suezie. Dopiero po tej eskalacji naprężenia, Stany Zjednoczone i Francja zniosły embargo na dostawy broni, przy czym Francja dostarczyła samolotów zarówno Izraelowi jak Jordanii, która niezależnie od tego kołacza o broń w Waszyngtonie, Londynie i bodaj w Moskwie. Wobec bezsilności O.N.Z., który znalazł się w zupełnym impasie, oraz nieustępliwości obu poważnionych stron nie zanoszą się na przerwanie tego wznowionego wyścigu zbrojeń, który grozi bankructwem gospodarczym lub nowym starciem zbrojnym. Dlatego Moskwa go podsyca.

WIETNAM: Mimo zaostrzenia lotniczej ofensywy na Wietnam Północny, mimo przeprowadzenia kilku większych operacji lądowych i mimo stosunkowo pomyślnego przebiegu i wyniku wyrobów w Południowym Wietnamie — sytuacja nie uległa poważniejszym zmianom. Hanoi, usztywnione i zasilane zarówno przez Sowiety jak przez Chiny, sprzeciwia się nadal podjęciu rokowań, licząc na to, że rosnąca fala wewnętrznych trudności zmusi Amerykę do wycofania się z Wietnamu, zaś Waszyngton zdaje sobie sprawę z tego, że odwrót z Wietnamu oddałby na pastwę komunizmu całą południowo-wschodnią Azję i poderwałby do reszty prestiż Ameryki. Ukształtowanie i pokrycie terenu i zarys granic Wietnamu utrudnia, niestety, skuteczne wykorzystanie jej miażdżącej przewagi technicznej i znacznej przewagi liczebnej, więc ta dziwaczna wojna z coraz lepiej uzbrojonymi partyzanckimi lub regularnymi oddziałami komunistycznymi może się jeszcze bardzo długo ślimaczyć. Obecnie liczą one na obszarze Południowego Wietnamu podobno 285.000 partyzantów Wietkongu i około 50.000 regularnych żołnierzy Północnego Wietnamu, czyli w sumie mniej, niż jest w Wietnamie żołnierzy i lotników amerykańskich (442.000), których przecież wspiera nie tylko liczna armia Południowego Wietnamu, ale także dwudwuzwojny korpus koreański (40.000), o mniejszych, choć ostatnio wzmocnionych siłach australijskich, nowo-zelandzkich i siamskich nie mówiąc. Lansowane przez McNamare wybudowanie naelektryzowanej przegrody wzdłuż strefy „zdemilitaryzowanej”, zresztą przez jego fachowych doradców zwalczane, zostało, jak się zdaje, poniechane. Byłoby istotnie bezskuteczne — wobec niemożności bronięcia dostępu do tej przegrody na całej jej długości. Ponieważ zaś inwazja Północnego Wietnamu, grożąca otwartym konfliktem z Chinami i piętnem bezspornego agresora, nie jest przez Waszyngton przewidziana, końca wojny nie widać i Ameryka znalazła się w sytuacji owego Kozaka, który „złapał Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma”.

A tymczasem straty amerykańskie niemal nieustannie wzrastają w związku z coraz to lepszym uzbrojeniem oddziałów komunistycznych i przeciwlotniczej obrony Północnego Wietnamu. Ilość samolotów amerykańskich strąconych jedynie nad Północnym Wietnamem przekroczyła już na początku października 700, a straty krwawe od początku zaangażowania 100.000 żołnierzy i lotników, w tym 13.600 poległych i 88.800

rannych. Rzecz inna, że spośród tej masy rannych niemal 50% nie poszło w ogóle do szpitala, zaś spośród 47.400 odesłanych do szpitali 70% wróciło do oddziałów, 22% przebywa jeszcze na leczeniu, a tylko 5% zostało uznanych za inwalidów i zaledwie 3% z ran w szpitalach zmarło. Oficjalne te cyfry świadczą pochlebnie o poziomie amerykańskiej służby sanitarnej. Mniej pocieszający (dla dowództwa amerykańskiego) jest za to fakt, że do połowy września br. poległo więcej amerykańskich żołnierzy, niż w ciągu całego roku 1966 i że w sumie uległo zniszczeniu lub uszkodzeniu 2.000 samolotów i 1.000 helikopterów, w tym 50% wskutek wypadków lub napadów na lotniska.

Kage

WESOŁYCH ŚWIĄT
i pomyślnego
NOWEGO ROKU
życzy
WSZYSTKIM KLIENTOM
I **DOSTAWCOM**
L. SCHWEIZER Ltd.
IMPORT I HURT ŻYWNOŚCI
55, Farringdon Road,
London, E. C. 1.
Tel. CHA 7257, 9610

Józef Garliński

„DRAMAT I OPATRZNOŚĆ“	18/6
„MATKI I ŻONY“	18/6
„MIĘDZY LONDYNEM I WARSZAWĄ“	18/6

Trzy książki, które w beletrystycznej formie wprowadzają czytelnika w atmosferę walki, zaskakujących osiągnięć i wielkiego zasięgu Armii Krajowej.

„ZIEMIA“ — opowieść	12/6
---------------------	------

Skład główny:
GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K.
20, Queens Gate Terrace,
London, S.W.7.
i wszystkie kioski i księgarnie polskie

Notatnik kulturalny

STUDIUM

MALARSTWA SZTALUGOWEGO SPOŁECZNOŚCI AKADEMICKIEJ UNIW. STEFANA BATOREGO

Ostatnio odbyła się w sali Polskiej YMCA wystawa dalszych 4 dyplomantów, w tym trzech cudzoziemców i jednej Polki. Wręczenie dyplomów odbyło się na tradycyjnej i symbolicznej dorocznej, a 20-ej z rzędu Inauguracji Roku Akademickiego S.A.U.S.B. Przy tej sposobności prof. M. Bohusz-Szysko mówił o fryburskich witrażach Józefa Mehoffera w Katedrze św. Mikołaja, dzieło 40 lat pracy mistrza i jeden z największych pomników polskiej sztuki współczesnej w Europie. Uroczysty charakter zebrania podniósł jeszcze fakt, że w zagajeniu swym prezes Rady B. Podoski przypomniał postaci wszystkich dotychczas zmarłych rektorów, z ostatnim włącznie, a mianowicie prof. C. Baudouin de Courtenay-Jędrzejowiczową (1960-1967), której na publicznym zebraniu P.U.N.O. poświęcił również obszerne wspomnienie prof. dr Lucjan Turkowski. Warto przy sposobności dodać, że wśród swych talentów naukowych i artystycznych prof. Jędrzejowiczowa posiadała również niezwykłe, zupełnie samorodne zdolności plastyczne, którym dawała upust w kolorowych obrazkach o szagalowskiej, ale zupełnie samoistnie ujętej, fantazji.

Zatrzymując się na przejawach plastyki kobiecej (o wystawach T. Ilnickiego w Drian Gallery i W. Siudmaka u Grabowskiego mowa jest osobno), wspomnieć należy o wystawie dwóch Polek z Kraju w „Doctor's Reustarant” urządzanej przez J.T. Oliębło: Gertrudy Kuziemskiej-Wilczopolskiej z Gdańska, w której pracach element formy graficznej przeważa nad kolorystyką i Elżbiety Wolickiej z Warszawy, przejawiającej głębokie zainteresowania kolorystyczne w ciemnych gamach barw. Zainteresowania te malarka łączy ze studiami filozoficznymi na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Wspomniany W. Siudmak jest jej kolegą z Akademii Sztuk Pięknych.

ZBIORY WERNIKÓW: Do szerokich kół miłośników sztuki dzieła plastyczne przemawiają jeszcze w inny sposób, nie twórczy, a kolekcjonerski. I tą drogą powstają adepci prywatnego mecenatu. Jaskrawy tego przykład oglądać było można w sali Domu Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego, gdzie dużą salę zebrań wypełniły eksponaty pochodzące ze zbiorów prywatnych pp. Elżbiety i

Romułda Werników, które mogłyby być przedmiotem zazdrości każdego muzeum polskiego.

Na zbiory te składały się przede wszystkim, dzieła malarstwa dziś już przeważnie historycznego, takich mistrzów polskich (lub obcych, z polsnością związanych), jak Malczewski, Axentowicz, Kędzierski, Sichulski, Kostrzewski, Gerson, Ejsmont, Szermentowski, Chełmiński, J. i W. Kossakowie i W. Tetmajer, jak i K. Schweikart i M. Gerrarts. Dalej rysunki A. Orłowskiego, J. Matejki, A. Grottgera i D. Chodowieckiego. A nadto wazy z Korca, Baranówki, Miśni, filizanki z Sèvres, tkaniny w rodzaju pasów kontuszowych, w tym jeden ze Słucka itp.

J. Ostr.

Z TEATRU

WIDOWISKO Z CWIECZKA

Teatr „Syrena” (dla dzieci i... dorosłych) wystawił w sali im. Rudolfa Steinera widowisko taneczno-muzyczne, lekkie jak pianka i barwne jak kryształki w kalejdoskopie. Są to „Trzewiczki szczęścia” znanego przed wojną pisarza dla młodzieży Benedykta Hertza, będące w najlepszym znaczeniu bajeczką, która może spodobać się i dorosłym, szukającym wytchnienia od ponurych zazwyczaj wybrzyków sztuki współczesnej.

Główną postacią jest robotny i figlarny szewczyk Felek (w zupełnie nieporównanym wykonaniu Marka Pieczory), któremu udaje się uratować z bezdnie nudy dworskiej rozkapryśzoną królową Lale (urodziwie uosobioną przez Hanię Stypułkowską). Warto zwrócić uwagę na ludowy charakter śpiewanych przez Królową piosenek, co można by sobie tłumaczyć, jako nieśmiało przemycony świeży akcent w stylu modnej pop-muzyki, obok kilku innych podobnych „anachronizmów”.

Dwojąc i trojąc zespół udało się wypełnić dom szewca i dwór królewski. Łącznikiem między nimi była J. Jakubówna, raz w roli szewcowej, to znów niani dworskiej, bardzo ofiarnie ucharakteryzowanej, wygrywającej w pełni wszystkie swoje talenty. Z dużą satysfakcją można było śledzić udaną transfigurację Z. K. Yourievskiego w okazałą postać Marszałka dworu, co stanowi podstawę rzetelnego aktorstwa, choć na tym ono się nie kończy. W roli igroć, a potem dworzan walczących ze spleenem Królowy, wystąpili z powodzeniem Wiola Hala (tancerka i dama dworu), nazbyt rzadko słyszana J. Wtór-

rzecka jako sopran, Bogusław Kucharek (powściągliwy magik i zabawny Sędzia II), razem z A. Kamińskim, seniorem, (Sędzia I i szewe Klepka). Dalej A. Kamiński, junior (Herold i dworzanin), R. Oleksowicz (lekarz i minister), B. Łastowski (zawiedziony Kat) i Iwonka Szymańska (paź) — wszyscy uosobili plastycznie swe postacie.

Specjalne uznanie należy się za pomyslową realizację widowiska kierownicze artystycznej i reżyserce p. Reginie Kowalewskiej, której oddaniu, zdecydowaniu i energii zawdzięcza „Syrena” swą ciągłość pracy i godne uznania wyniki.

J.O.N.

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID
FRANCJA
66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

ŻYCZENIA

*MIŁYCH, POGODNYCH
ŚWIAT*

*i
SZCZĘŚLIWEGO
NOWEGO ROKU*

składa

*KLIENTOM I ZNAJOMYM
Dyrekcja*

ZYLAN LTD.

IMPORT I HURT ŻYWNOSCI

**55, Pitfield Street,
London, N.1.**

Tel. 253 2951

ILNICKI I SIUDMAK

POLSCY malarze odgrywają coraz większą rolę w zachodniej Europie. Po drugiej wojnie światowej po raz pierwszy zrobił wrażenie polski film, tzw. „szkoła polska“, i obsypano go nagrodami na szeregach festiwalu. Obecnie przyszła kolej na polskich malarzy. Polskie nazwiska „liczą się“ tak w Paryżu jak i w Londynie.

Polacy posiadają „galerie“ w Paryżu i Londynie, co pomaga bardzo rozgłosowi naszych malarzy tak emigracyjnych jak i krajowych. Goszczą ich chętnie i galerie obce. Największym osiągnięciem na polu malarstwa polskiego za granicami kraju jest szkoła prof. Mariana Bohusza-Szyski w Londynie, choć nie wszyscy zdają sobie z tego sprawę.

W ostatnich tygodniach Londyn pokazał dwu dobrych malarzy polskich: Tadeusza Ilnickiego, „Galeria Drian“, — dyrektor Halima Nałęcz i Wojciecha Siudmaka, Galeria M. B. Grabowskiego. Tadeusz Ilnicki urodził się w r. 1906 na Ukrainie. Studiował w „Akademii Sztuk Pięknych“ w Odessie, a następnie w „Conservatoire des Arts et Métiers“ w Paryżu. Obecnie mieszka w Londynie.

Jest to artysta szeroko znany i mający za sobą tak wystawy indywidualne, jak i wspólne w Paryżu i Londynie. Obecna wystawa zawiera 20 prac olejnych, dużych rozmiarów, o tytułach: „Polowanie“, „Święta krowa“, „Jezioro“, „Kaczki na wodzie“, „Żniwiarze“, „Konie“ i inne.

Jak same nazwy wskazują, tematyka wiejska, a więc dosyć egzotyczna na tle współczesnego malarstwa, które natchnione jest miastem, ucieka od przyrody. Ilnicki czerpie nie z obserwacji aktualnej, ale ze wspomnień, z rodzinnej Ukrainy, z polskich pól i lasów.

Te obrazy czerpane z pamięci i tęsknoty, ulegają transformacji. Wiedza malarska, talent, indywidualność, dają nam pełne poetyckiej prawdy dzieła, tętniące kolorem, o trafnej kompozycji. Widać tu silny wpływ kubizmu, pewnie, dalekie echa, surrealizmu.

Jest też, choć nie podkreślany „pop“. Efekty optyczne dają linie tak pionowe jak i poziome i ukośne, które nadają „ruch“ nie całemu obrazowi, ale jego częściom.

Te wpływy umie malarz zestroić w jedność. Jego każdy obraz jest nie tylko muzyczny, ale melodyjny. Całość jest szczerze polska, przez to nam bliska, a zastanawiająca i frapująca dla obcych.

Choć obrazy Ilnickiego są rodzaju

„opowiadającego“, i do każdego może widzieć sobie dorobić anegdotę, a więc są przeciwstawne abstrakcji, w niektórych, gdyby usunąć pewien fragment, np. ptaka na obrazie z ptakiem, byłyby typową kompozycją abstrakcyjną, kiedy to oko cieszą tylko kolory i kształty, nie odwołujące się do żadnej formy z życia.

To bogactwo jakie reprezentuje twórczość Tadeusza Ilnickiego, prześwieczone spokojem duszy szlachetnej, daje mu mocną indywidualną pozycję nie tylko wśród malarzy polskich, ale i europejskich. Oczywiście, nie znaczy to, że obrazy Ilnickiego będą rozchwytywane przez kolekcjonerów czy muzea, gdyż jest taka duża ilość mistyfikatorów, mających na swe usługi tuby reklamy, że dla prawdziwego artysty, jakim jest Tadeusz Ilnicki, może nie być już miejsca. Ale mamy nadzieję, że prawdziwe wartości zatryumfują i znajdzie on uznanie również w sferze materialnej, czego mu z całego serca życzymy.

Wojciech Siudmak urodzony w Wieluniu w r. 1942, a więc młodzieńki jeszcze artysta, po ukończeniu Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, przybył na „zdobycie“ Paryża, rok temu. Zdołał w tym krótkim czasie mieć trzy wystawy w Paryżu, Berlinie i obecnie u mgr. Grabowskiego.

U Grabowskiego pokazał 8 olbrzymiego formatu prac, przypominających powiększone fotografie, choć nimi nie są, względnie afisze, którym brakuje tylko napisów, by były typowymi afiszami.

Kompozycje Siudmaka są rytmiczne, śmiałe — muskuły, stroje kąpielowe, młodość tryumfująca — a więc „pop“, któremu chętnie udziela swej galerii M.B. Grabowski. Są również u Siudmaka efekty świetlne, niektóre partie „się ruszają“. To utalentowany malarz, wrzliwy na najnowsze kierunki malarstwa.

Porównując Ilnickiego z Siudmakiem, mimo lat, które ich różnią najwięcej, widzimy podobieństwa. Obaj reprezentują sztukę opowiadającą, a jednocześnie zahaczają w niektórych swych fragmentach o abstrakcję.

Obaj tworzą poza swym krajem rodzinnym. Obaj chłoną najnowsze prądy. U Ilnickiego, jak w starym drzewie widać dawne słoje, u Siudmaka nie. U Ilnickiego jest spokój i dobroć, u Siudmaka młodzieńcza chęć ekspansji, wyścicia przed innymi. Ale ponieważ obaj są Polakami, choć z różnych krańców wielkiej ojczyzny, emanują swą duszę przez swoje dzieła. Chłopi, których na-

malował Ilnicki czy młodzieńcy i dziewczęta Siudmaka, mają i polski śmiech i polską budowę.

Obie galerie: Nałęcz i Grabowskiego, robią dobrą robotę i są salonami prawdziwej, choć często trudnej, sztuki.

Stefan Legeżyński

SERDECZNE ŻYCZENIA WESOŁYCH ŚWIĄT

i Szczęśliwego
NOWEGO ROKU

składa

wszystkim Klientom

DYREKCJA

POLSKIEJ PRALNI

FLEET LAUNDRY (HAMPSTEAD) LTD.

144, Fleet Road,
London, N.W. 3.

Tel.: 485 1770

Księgarnia S.P.K.

20, QUEENS GATE TERRACE,
LONDON, S.W. 7.

Wyłączne przedstawicielstwo
Instytutu Literackiego i
„Kultury“ na Wielką Brytanię

Aleksander Hertz

SZKICE

O IDEOLOGIACH 17/6

Herling-Grudziński G.

INNY ŚWIAT

20s

Singer Bernard

OD WITOSA

DO SŁAWKA

27s

Witos Wincenty

MOJE WSPOMNIENIA

3 tomy

130s

Zaremba Paweł

HISTORIA POLSKI

tom I

30s

Przesyłka każdej książki 3s.

POETA PATRZY NA AMERYKĘ

NIE ma końca w odkrywaniu Ameryki. Odkrywają ją sami Amerykanie, głównie w studiach socjologicznych, takich jak „The Affluent Society” albo „The Lonely Crowd”. Pokazują nam wizję przeszłości, nie zawsze optymistyczną i pogodną, a Europa czyta te książki z najwyższym zaciekawieniem, albowiem widzi w nich odbicie swoich przyszłych problemów. Juliusz Mieroszewski w listopadowym zeszytzie paryskiej „Kultury” powiedział słusznie, że „amerykanizacja” Europy, występuje coraz silniej, przjmowana jest przez Europejczyków bez specjalnego oporu, albowiem widzą w tym procesie przedłużenie własnej rewolucji przemysłowej — natomiast Europa Wschodnia nie widzi w procesach, jakie przyniosła ze sobą Rosja żadnej ewolucji i żadnego postępu we własnych przemianach.

Odkrywają Amerykę turyści i nowi emigranci, głównie krajobraz i zewnętrzną powierzchnię, zaskakującą panoramę miasta, dziwaczny kocioł rasowy. Emigranci odkrywają ją z sympatią, albowiem w Stanach Zjednoczonych słowo „emigrant” nie jest terminem ujemnym, przeciwnie — Ameryka jest krajem emigrantów, zbudowanym trudem wychodźców, krajem, który udowodnił, że jednorasowe czy jednonarodowe państwo nie musi być ideałem. Emigranci stworzyli najpotężniejsze mocarstwo świata i nie ma w Ameryce obywateli drugiej klasy, jak w całym świecie — poza Murzynami. Jest rzeczą zdumiewającą, jak sądy emigrantów lub turystów o Stanach Zjednoczonych są do siebie podobne i jak pierwsze odczucia tego olbrzymiego kontynentu są analogiczne.

Mam za sobą bardzo krótki pobyt w Stanach Zjednoczonych, bo zaledwie dwóch miesięcy i pokwitowałem swoje wrażenia z Ameryki szkicem pt. „Via Dollarosa” i esejem o Nowym Yorku, sprowokowanym książką angielskiego krytyka Pritchetta o tym niezwykłym mieście (obie rzeczy na łamach „Wiadomości”). Wielokrotnie starałem się porównać moje sądy o Ameryce z oce-

nami ludzi, którzy spędzili krótki czas na kontynencie amerykańskim. Niedawno miałem sposobność przymierzenia moich sądów do wrażeń pewnego krytyka z Polski, który pojechał do Ameryki na kilka miesięcy i malarza mieszkającego stale w Londynie, który odwiedził USA. Sądy nas trzech zgadzały się niemal całkowicie.

Pierwsze wrażenie, jakie czyni Ameryka na przybyszu, to wrażenie ogromu. Ten ogrom spogląda nam w oczy z okien samolotu, a potem towarzyszy nam we wszystkich wędrówkach po lądzie amerykańskim. Nieraz w nocy patrząc na płynną strugę światła ciągnących canyonem Fifth Avenue w Nowym Yorku doznajemy wrażenia niesamowitości tego zjawiska i rodzi się równocześnie pytanie, dokąd ta struga płynie i jaki jest cel tej niesamowitej energii zakłętej we wszystko, na co w Ameryce się natykamy? Zanim zaśniemy, nawet na najdalszych przedmieściach Nowego Yorku, słyszeć będziemy szum samochodów jadących wielkimi szlakami i uzmysławiamy sobie fakt, że dystans między Nowym Yorkiem a San Francisco jest większy niż między Londynem a Nowym Yorkiem. Z tym ogromem łączy się poczucie swobody, jakiego nie doznajemy w żadnym innym kraju świata — a być może, że ta swoboda jest poprostu funkcją ogromu. Kto raz dostał się na ziemię amerykańską może poruszać się po niej swobodnie i może być wędrowcem starej daty, włóczęgą, „hobo” opanowanym zmysłem wędrówki właściwym temu krajowi pół-nomadów.

Jest to dalej kraj wszelkich możliwości i zawrotnych karier, kraj, gdzie każdy talent znajdzie wreszcie swoje zastosowanie i ocenę, kraj niesamowitej brutalności w walce o byt i niezwyklej hojności dla wszystkich spraw słusznych i sprawiedliwych. Wędrując po tak zwanej Bowerly w Nowym Yorku oglądamy typy i twarze, jakich nie widzi się nigdzie chyba na świecie, przerażliwe maski ludzi strawionych przez życie — a równocześnie napotyka

się na każdym kroku ludzką uczynność, gościnność, można by powiedzieć — starej chłopskiej chaty. Ten kraj kontrastów i jaskrawości, który dzisiaj wytworzył już pokaźną inteligencję i ma specjalistów w każdej dziedzinie, fascynuje i urzeka i nie można się dziwić, że każdy kto przebywał chociażby krótki czas w Ameryce chciałby spisać swoje wrażenia i uporządkować natłok myśli, jakie budzi ta gromada ciągle zmieniająca się, niespokojna, niekiedy niepoczytalna, a zawsze emocjonalna.

Kazimierz Wierzyński ma tę przewagę nad wielu polskimi obserwatorami, że przybywał tam przez długie lata i że poznał Amerykę jaką mało kto zna. Jest to Ameryka wsi odludzia, Ameryka jakże inna od krzyku miast, od Greenwich Village. Wierzyński mieszkał na pustkowiach amerykańskich, gdzie zima jest równie surowa, jak na Polesiu i gdzie towarzyszami są zwierzęta, których ślady pozostają na śniegu. Poznał on Long Island, ten gigantyczny Hel amerykański, gdzie mieszka się dalej w starych dworach polskich i gdzie obyczaj dawnej Ameryki zachował się niemal nieskażony.

W swojej książce pt. „Moja prywatna Ameryka” (nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie), Wierzyński opisuje uroki Sag Harbour u samego końca Long Island, nazywając go „Wenecją dla ubogich” i pustkowie, na które schronił się w czasie pisania swojej książki amerykańskiej o Chopinie. Przedstawia nam kraj wielkiego Walta Whitmana i opowiada nam o amerykańskich malarzach, o ptakach i kwiatach i o malarzach ptaków takich jak Audubon. Jest to Ameryka intymna, pokazana od strony natury i prostego człowieka. Nawet ludzie, należący do tak zwanej inteligencji, nawet pisarze tacy jak John Steinbeck, zachowują się tutaj jak ludzie z tłumu i należą do gromady Sag Harbour, pijąc pospołu z robociarzami i rybakami swoją codzienną kawę.

Wierzyński zna Amerykę na wskroś i każda jego uwaga potrąca jakąś

(Dokończenie obok)

MEDYCYNA W STAROŻYTNYM EGIPCIE

GAWĘDA na okres świąteczny? W tych dniach radości i wypoczynku nie wypada pisać o chorobach. Co rajwyżej — o skutkach przejedzenia się. Ale wskazania na ten temat nie urosłyby do długości lekarskiego artykułu. Czytelnicy bowiem wiedzą sami: najlepiej nie przejadać się. Ale jeżeli już torty rodzinne były za ciężkie, ryby zbyt pikantne, a polska wódka „wyborowa“ wchłaniana w ilościach za obfitych — to najlepiej na drugi dzień zastosować dietę, popić oczyszczoną sodą i położyć się na kanapie na dłuższy wypoczynek ze świątecznym numerem „Orla“ w ręku.

Świąteczną więc gawędę chcę poświęcić medycynie starożytnego Egiptu, której tajniki poznaliśmy już dość dokładnie z odczytanych papirusów. Jest to jeszcze jedna dziedzina życia tego prastarego narodu, która zdumiewa nas stale swoją — by tak powiedzieć — współczesnością. Egipcjanie bowiem nie tylko byli wspa-

niałymi architektami, astronomami i matematykami, ale także i lekarzami.

Warto jest zanotować, że w podręcznikach starożytnych Egipcjan na 48 wypadków opisywanych i leczonych chorób tylko jedna leczona była za pomocą zakłęb. Pozostałe starano się leczyć środkami naturalnymi. Najstarszą książką medyczną świata jest tzw. Papirus Edwina Smitha (przez niego odkryty). Jest to doskonale sklasyfikowany podręcznik chirurgiczny — poczynając od obrażeń głowy, a posuwając się w dół ludzkiej anatomii z opisami operacji, kuracji, czy ewentualnych komplikacji.

Staro-egipskie metody badania wydają się niemal nowoczesne. Oparte one były na wiekach doświadczeń i bystrych obserwacji. I tak na przykład przy obrażeniach głowy egipski lekarz, tak samo jak dzisiejszy — nie ograniczał się do obejrzenia kontuzji, sprawdzenia uszkodzonej kości i oczyszczenia zranionego miejsca, ale zwracał baczną uwagę na odruchy rąk i nóg zranionego, wnosząc z tego o możliwościach paralizu. Poza tym, uważnie śledził rytm pulsu pacjenta.

Na badaniu i sprawdzaniu pulsu medycyna staro-egipska opierała wszystkie swe oględziny, a jego bicie jest następująco opisane w papirusie Smitha:

„W sercu człowieka znajdują się żyłki przewodnie do każdej części ciała. Jeżeli więc kapłan Sakhmeta (bóstwa medycyny) albo świecki medyk położy swe palce na głowie pacjenta, lub na jego szyi, albo przegubie ręki — będzie zdolny zmierzyć czynność serca, gdyż żyły obsługujące każdą część ciała chorego przeniosą rytm serca do palców kapłana czy lekarza“.

Z 48 wypadków, które opisuje papirus, 14 zostało uznanych przez egipskich lekarzy za przypadki beznadziejne. Niemniej jednak przepisywali oni odpowiednią kurację, starając się podtrzymać wątłe życie nie tyle zapewne ze współczucia, gdyż czasy rozkwitu Egiptu faraonów były okrutnymi czasami,

ile dla dobra i postępu swej medycyny.

Dla leczenia otwartych ran lekarski papirus-podręcznik zaleca kładzenia na ranę świeżego mięsa i zmianę lnianych włókien codziennie, aby utrzymać ją w czystości. Na rany ropne natomiast, w celu ich dezynfekcji zalecano maść z salixu, z którego do dziś wyrabia się preparaty salicylowe, mające pewne właściwości antyseptyczne.

Dentystyka także nie była obca egipskim medykom i kapłanom. W znalezionej niedawno czaszce pochodzącej z przed czterech tysięcy lat odkryto na zębach ślady borowania tak dokładnego, że nerwy zębowe nie były naruszone. Napewno borowanie ówczesne musiało być niesłychanie bolesne, ale także z pewnością zęby delikwentów były ratowane skutecznie, gdyż po 40 wiekach nadal siedzą mocno w szczęce czaszki.

Recepty egipskie, których najslyniejszy zbiór nosi nazwę „Papirusu Ebersa“ są niezwykle ciekawe dla współczesnego lekarza. Przewija się przez nie domysł, przecucie odkryć o całe wieki późniejszych. I znów tak jak w podręczniku chirurgicznym — na 800 recept na najrozmaitsze schorzenia, zaledwie kilka z nich szuka ratunku w magii.

Pojęcie kryzysu choroby, czekanie na jej punkt szczytowy, aby stwierdzić, czy sama natura nie wyleczy pacjenta — jest traktowana bardzo poważnie, zarówno w receptach jak i w podręcznikach naukowych i znowu człowieka współczesnego dziwi fakt, że kryzys chorobowy nie był przez Egipcjan przypisywany siłom wyższym — bogom, lub magii kapłanów. Widocznie, tak jak w architekturze, matematyce czy astronomii — Egipcjanie woleli opierać się na racjonalizm. Natomiast piękność i dokładność opisów w ich księgach lekarskich mogłyby służyć i dzisiaj jeszcze dzięki precyzji swego wyrażania się, elegancji stylu i logice myślenia.

Dr Michał

ciekawą strunę, wszystko jedno czy opowie nam o sprawie Ezry Pounda, poety, z którym Ameryka nie obezła się najlepiej, czy przypomni Josepha Pulitzera, fundatora wielkiej nagrody, Henry Louis Menckena, autora pomnikowego słownika amerykańskiego, czy też wspomni o ptaku, który zowie się robin, o ciągu dzikich gęsi, czy o ptaku, który zowie się oriol. Jest rzeczą jasną, że książka Wierzyńskiego narodziła się z felietonów, przypuszczalnie radiowych i że istniało niebezpieczeństwo, iż książce tej zabraknie poczucia ciągłości. Tak się na szczęście nie stało, gdyż nicią łączącą jest sympatia dla Ameryki i uwielbienie dla wspaniałej przyrody, która zaskakuje nas ustawicznie — raz szarym ogromem Oceanu, raz rozległym oddechem stepów, to znowu pastwiskami i lasami, jeziorami i górami. Jest w tym krajobrazie wszystko, wszystkie klimaty i wszelkie nastroje i Wierzyński orientuje się w odcieniach tej przyrody, jak mało kto. Dla olbrzymiej większości przybyszów Ameryka to kamienny Nowy York, krajobraz jakiejś sierry stworzonej przez człowieka. Wierzyński dzięki swojemu talentowi i swojej miłości dla człowieka i zwierzęcia potrafił wyczarować obraz, który zostanie nam na długo w pamięci.

Zbigniew Grabowski

NAJLEPSZE ŻYCZENIA

ŚWIĄTECZNE i NOWOROCZNE

składa

WSZYSTKIM KLIENTOM

M.B. GRABOWSKI

GRABOWSKI EXPORT — IMPORT LTD.

175, DRAYCOTT AVENUE, LONDON, S.W. 3.

Tel.: 589 0750 i 589 9656

O GRUPACH KRWI I ICH ZNACZENIU

Krew zawsze cieszyła się szczególnym zainteresowaniem ludzi nauki, a mistycznym podziwem, mieszczanym często z lękiem, laików. Przypisywano jej rozmaite, niekiedy zdumiewające trafne, zazwyczaj niedorzeczne właściwości. Wyobrażano sobie, że krew rodziców, zwłaszcza ojca jako czynnika aktywniejszego, powtarza się u płodu, a z nią cechy dziedziczne. Podejrzewano, że krew szlachetnie urodzonych różni się składem i barwą od pospolitej. Słyszało się i słyszy, nawet dzisiaj, że dany osobnik ma po matce krew tej rodziny, a po ojcu owej.

Nie dziwnego, że z utratą krwi łączono różne groźne stany. Starano się więc ubytek zastąpić namiastką i wstrzykiwano krew zwierzęcą, pochodzącą od bydła lub koni. Te amatorskie próby transfuzji kończyły się zazwyczaj tragicznie. Wyniki z krwią ludzką były w początkowej erze tego leczenia bardzo kapryśne. W pewnych wypadkach stwierdzano wybitną poprawę, w innych katastrofalne pogorszenie lub nagłą śmierć.

Rozwiązanie tej niepokojącej zagadki zawdzięczamy austriackiemu uczonemu, prof. Karolowi Landsteiner, który, niedoceniony we własnej ojczyźnie, wywędrował do Stanów

Zjednoczonych, gdzie swymi epokowymi odkryciami, wyróżnionymi nagrodą Nobla, zapoczątkował nową gałąź hematologii tj. nauki o krwi. Wśród międzynarodowej elity, zasłużonej w opracowaniu i rozbudowie nauki o grupach krwi, zapisał chlubnie swe nazwisko Ludwik Hirsfeld, niedawno zmarły profesor mikrobiologii uniwersytetu wrocławskiego.

Wiemy od dawna, że przebycie pewnych chorób jak odra, dur brzuszny, ospa i inne, stwarza odporność na ponowne zakażenie. Dzieje się to dlatego że, pod wpływem zarazków wytwarzają się w organizmie napaźniętego osobnika **NIWECZNIKI, przeciwciała**, które skutecznie opowiadają sytuację, niszcząc intruzów. Rodzaj policji sanitarnej. Po tym akcie obrony, nie zawsze jednak skutecznym, gdyż mobilizacja sił ochronnych czasem zawodzi, niweczники pozostają trwale w surowicy, aby na każde ponowne zawołanie stawić się na czas i unieszkodliwić upartego natręta.

Nie tylko jednak zarazki pobudzają organizm do obrony, prowokując go do produkcji przeciwciał, ale również różne połączenia **białkowe**, wstrzyknięte osobnikowi przypadkowo lub celowo. Wszystkie te ciała, zdolne pobudzić organizm do two-

żenia przeciwciał określa się jako **ANTYGENY**.

Krew składa się z części płynnej, zwanej surowicą, i z komórek, zwanych krwinkami. W krwinkach znajdują się substancje o charakterze antygeny. Zachowują się podobnie jak wspomniane ciała białkowe, tzn. powodują powstanie przeciwciał, skierowanych przeciw nim tj. antygenowi w krwinkach, jeśli tę krew, zawierającą właśnie te antygenowe krwinki, wstrzyknie się innemu osobnikowi aniżeli ten, od którego pochodzi. Stwierdzono u różnych osobników odmienne typy antygenów w ich krwinkach. Przekonano się również, że obecność tego lub owego antygeny w krwinkach jest sprawą dziedziczności, zależną od genów, otrzymanych w spadku od rodziców.

Nasze pojęcie o zasadniczych różnicach między pojedynczymi osobnikami, większymi grupami lub nawet rasami są bardzo naiwne. Z punktu widzenia biologicznego, a więc nie antropologicznego, zazwyczaj opisywane różnice nie są istotne. Nawet barwa skóry nie jest czynnikiem decydującym, gdyż ten sam barwik znajduje się w skórze wszystkich ras, jakkolwiek w różnej ilości.

Jedynym czynnikiem, naprawdę wyróżniającym, jest przynależność do jednej z grup krwi. Opierając się na jej oznaczeniu, możemy gatunek ludzki podzielić na cztery zasadnicze grupy: **A, B, AB, O**.

Ten podział nie przebiega równolegle z podziałem na uznane rasy jak biała, czarna, żółta i czerwona. W obrębie bowiem każdej rasy antropologicznej znajdują się osobnicy z każdą z czterech grup krwi.

Grupa A tym się odznacza, że w jej krwinkach znajduje się antygen A, który wstrzyknięty (np. wraz z krwią przy transfuzji, lub jako wyciąg przy eksperymencie) osobnikowi innej grupy (a więc B, AB, O), spowoduje, jak każde ciało białkowe, powstanie przeciwciała, nazwanego a (dla odróżnienia od antygeny, pisanego dużą literą, nazwijmy go małą literą). Grupa B posiada w

NOWOŚĆ!

NOWOŚĆ!

Zbigniewa Grabowskiego

OJCZYZNA EUROPA

Niezwykle interesująca książka o 14 krajach kontynentu europejskiego. Wizerunek Europy powojennej, skreślony przez wrażliwego obserwatora, podróżnika, doskonałego znawcę jej historii i kultury.

Cena: £ 2.10.0

Str. 484

Skład główny:

GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K.,
20, Queens Gate Terrace, London, S.W. 7.

Do nabycia w księgarniach polskich.

krwinkach inny antygen, nazwany B, który wstrzyknięty osobnikom innych grup (a więc A, AB, O), wywoła tworzenie przeciwciał, zwanych **b**. Grupa **AB** wywoła tworzenie przeciwciał typu **ab**. Grupa **O**, nie posiadająca w krwinkach żadnego antygeny, zachowa się obojętnie, nie spowoduje tworzenia żadnych przeciwciał.

Natura postępuje zazwyczaj rozważnie i przewidująco. Nie pozwoli na tworzenie i przebywanie w surowicy przeciwciał skierowanych przeciw antygenom własnych krwinek. Jeśli ktoś posiada krwinki, zawierające antygen **A**, nie może mieć równocześnie w surowicy przeciwciał **a**, gdyż przeciwciała **a** atakowałyby krwinki z antygenem **A** i organizm zginąłby w tej walce domowej. Ale nie grozi, jeśli osobnik z krwinkami, zawierającymi antygen **A**, będzie miał w surowicy przeciwciała **b**. Zachowają się one wobec antygeny **A** obojętnie. W porządku będzie również, jeśli osobnik z krwinkami, zawierającymi antygen **B**, będzie posiadał w surowicy przeciwciała **a**, gdyż antygen **B** i przeciwciała **a** ignorują się wzajemnie. Przekonano się również, że osobnicy grupy **O** posiadają w surowicy przeciwciała **ab**, osobnicy zaś grupy **AB** przeciwciała typu **o**. (zero) tzn. ich surowica nie ma żadnych przeciwciał skierowanych przeciw jakiemukolwiek antygenowi. Dzięki temu przewidującemu urządzeniu wszelkie nieporozumienia między antygenem własnych krwinek, a przeciwciałami własnej surowicy są wykluczone.

To stwierdziwszy, zrozumiemy, że osobnikowi z grupy **A** możemy bezkarnie wstrzyknąć krew (lub surowicę) osobnika tej samej grupy. Wstrzyknięte bowiem krwinki krwiodawcy grupy **A** nie napotkają we krwi krwiobiorcy, należącego do tej samej grupy **A**, żadnych wrogich przeciwciał, bo, jak słyszeliśmy, znajdują się tam tylko przeciwciała **b**, zupełnie obojętne wobec antygeny **A**. Możemy również bezpiecznie wstrzykiwać krew grupy **O**, bo ta nie posiada w krwinkach żadnego antygeny, co przekreśla z góry możliwość reakcji z przeciwciałami w krwi osobnika, którego poddajemy transfuzji. Inne dozwolone i niedo-

zwolone spotkania można łatwo kombinować na podstawie znajomości zasad, wyżej wyłożonych.

Osobników grupy **O** nazywa się **generalnymi krwiodawcami**. Ich krew będzie przyjęta i, z reguły, dobrze znoszona przez osobnika każdej innej grupy. Osobników grupy **AB** nazywa się **generalnymi krwiobiorcami**, gdyż mogą, z reguły, przyjmując bezkarnie każdą inną krew.

Dziedziczność grup krwi pozostaje w zgodzie z prawami Mendla, chociaż analiza mechanizmu wymaga dużej ostrożności i znajomości subtelnych odchyień od klasycznego przebiegu.

Wiele badań poświęcono częstości pewnych grup krwi wśród pewnych ras i narodów. Rezultaty są zbyt kapryśne, aby z nich wolno było wysnuwać daleko idące wnioski. Na ogół, spotykamy częściej grupę **A** na zachodzie. Im dalej na wschód tym więcej osobników grupy **B**, a mniej grupy **A**. Ludność Polski wykazuje 38,5% grupy **A**, 19,5% grupy **B**, 8,6% grupy **AB**, 33,4% grupy **O**. Polscy Żydzi wykazują (lub wykazywali, jak długo istnieli) wyższy odsetek grupy **A** (41%), prawie identyczny jak Anglicy, na ogół jednak nie różnią się prawie od reszty ludności.

Ludy prymitywne, np. tubylcy Australii, mają duży odsetek grupy **O**. Stąd przypuszczenie, że jest to najstarsza grupa, z której drogą mutacji genów powstały inne grupy. Obliczenia na pół miliona, dowolnie wybranych, ludzi na całej naszej kuli ziemskiej, pouczają, że około 37% ludzkości należy do grupy **O**, około 38% do **A**, 18% do **B**, 7% do **AB**.

Poradnie małżeńskie podkreślają ważność oznaczenia czynnika **Rh** u kandydatów do stanu małżeńskiego. Ten czynnik, wykryty w czerwonych ciałkach krwi małpy Rheus, znajduje się również we krwi większości ludzi (85%). Są to tzw. **pozytywne Rh typy**. 15% ludzi nie posiada tego czynnika — tzw. **negatywne Rh typy**. Niezgodność osobników pod względem **Rh** czynnika może wywołać zaburzenia przy transfuzji krwi jednego drugiemu, może również spowodować ciężką chorobę krwi u potomka niezgodnych rodziców.

Oznaczenie grup krwi ma doniosłe znaczenie dla medycyny sądowej. Pozwala w odnalezionych śladach krwi ustalić grupę ponad wszelką wątpliwość i dzięki temu potwierdzić zgodność z krwią ofiary mordu czy skaleczenia jak również wykluczyć pewne, nieraz niesłusznie podejrzewane osoby jako możliwe źródło tych śladów. Oddaje również poważne usługi w dochodzeniu i wykluczeniu ojcostwa. Grupy krwi przenoszą się według pewnych reguł na potomstwo. Oznaczając grupę krwi u dziecka, możemy w pewnych wypadkach wykombinować rodzaj grup u rodziców i w ten sposób potwierdzić możliwość ojcostwa albo kategorycznie zaprzeczyć.

Niektórzy gorliwi badacze usiłowali udowodnić, że z pewnymi grupami krwi związane są swoiste właściwości organizmu, jak skłonność do szczególnych zaburzeń, do zapadania na pewne choroby jak rak. Dotychczas jednak nie mamy na to żadnego dowodu i podobne twierdzenia nie przekroczyły jeszcze progu śmiałych spekulacji.

F. Goldschlag

NAJLEPSZE ŻYCZENIA

ŚWIĄTECZNE i NOWOROCZNE

s k ł a d a

WSZYSTKIM KLIENTOM

DYREKCJA

ROBIŃSKI & CO. LTD.

IMPORT I HURT ŻYWNOŚCI

41, HARRINGTON ROAD, LONDON, S.W.7.

Tel.: 584 5201

Z ŻYCIA POLSKIEGO

31 października br. londyński Albert Hall był widownią niezwyklej imprezy: przyszło doń około 4 tysiące ludzi, aby oddać hołd ofiarom prześladowań komunistycznych w okresie pięćdziesięciolecia 1917-1967.

Na sali znaleźli się Albańczycy, Białorusini, Czechosłowacy, Estończycy, Niemcy, Węgrzy, Łotysze, Litwini, Polacy, Rumuni, Rosjanie, Ukraińcy, Jugosłowianie, Kubańczycy, Chińczycy, Koreańczycy, Tybetańczycy i Wietnamczycy. Najliczniej byli reprezentowani Polacy.

Po zagajeniu przez lorda St. Oswalda, który objął przewodnictwo nad tym wieczorem, na wielkiej arenie Albert Hallu, udekorowanej flagami narodowymi, pojawiały się kolejno delegacje wymienionych narodowości dla odmówienia modlitwy i podkreślenia w jakiś symboliczny sposób, że pamięć o zbrodniach komunistycznych żyje w dalszym ciągu.

Uroczystość ta, pełna skupienia i religijnego nastroju, pozostawiła duże wrażenie wśród wszystkich obecnych. Niestety, prasa, radio i telewizja angielska na ogół pominęły milczeniem tę wymowną imprezę. W euforii podkreślenia osiągnięć komunizmu w 50-tą rocznicę rewolucji bolszewickiej jakoś brakło już miejsca, albo niewiele go było dla przypomnienia czytelnikom, słuchaczom i widzom „osiągnięcia“ wyrażającego się cyfrą z górą 100 milionów ofiar tego najokrutniejszego z systemów, jakie zna historia ludzkości. Tym więcej należy cenić odwagę lorda Oswalda oraz p. D. G. Stuart-Smitha, redaktora miesięcznika „East West Digest“, którzy w tym wypadku płynęli pod prąd ogólnego oportunistycznego nurtu w polityce i prasie tego kraju w stosunku do komunizmu w ogóle, a do Rosji Sowieckiej w szczególności.

* * *

POLSCY HARCERZE Z ANGLII W SOLURZE I RAPPERSWILU

Miasteczko Naczelnika — Solura, gościło dnia 19 października wycieczkę harcerzy polskich z Anglii. Były to harcerki z hufca „Pomorze“ i harcerze hufca „Łódź“, łącznie z ośrodków Slough, Swindon, Oxford, Wellingborough, Cambridge, High Wycombe, Dursley, Bedford, Peterborough — razem ponad 80 osób. Do Solury przyjechali z obozu im. Tadeusza Kościuszki w St. Stephan.

Przybyłych powitali p. K.F. Vincenz, kierownik Instytucji Kiermasz Książki Polskiej SPK jako gospodarz i przewodnik oraz prezes tutejszego Koła SPK p. B. Gmurczyk w towarzystwie organizatora obozu w St. Stephan, p. Z. Głowackiego, prezesa Koła 2 Dyw. Strzelców Pieszych. Goście zostali przyjęci obiadem, po którym K.F. Vincenz pokazał im osobliwości Solury. Specjalnie zwiedzono Muzeum, znajdujące się w dwóch pokojach dawnego mieszkania Naczelnika Tadeusza Kościuszki. Następnie zwiedzono pomnik-grobowiec Kościuszki w Zuchwil oraz starą kaplicę polską, odnowioną przez żołnierzy-artistów 2 Dyw. Strzel. Pieszych w czasie internowania w Szwajcarii podczas ostatniej wojny. Jest tam również tablica pamiątkowa poległych żołnierzy tej dywizji i wiele innych pamiątek i dzieł sztuki wykonanych przez polskich żołnierzy-artistów.

Po zwiedzeniu Solury nasi goście-harcerze udali się autokarami do Rapperswilu, gdzie oprowadzał ich p. Z. Głowacki. Polskich harcerzy przyjęli miejscowi harcerze szwajcarscy. Po kolacji odbyło się ognisko harcerskie nad jeziorem zurychskim. Prezes Głowacki przedstawił gości licznie zebranej publiczności — około 250 osób, po czym omówił historię zamku rapperswilskiego, pobyt żołnierzy polskich w Szwajcarii w czasie ostatniej wojny. Ks. Fr. Kącki omówił historyczne powiązania polsko-szwajcarskie. Przemówienia były przeplatane tańcami i śpiewami regionalnymi, a w części drugiej ogniska harcerze przedstawiali obrazy historyczne z dziejów Polski.

Na drugi dzień, polscy harcerze zwiedzili w godzinach rannych zamek w Rapperswil, a po południu miasto.

Należy podkreślić, że wycieczka ta należała do udanych pod każdym względem; zauważyliśmy, że harcerze mówili płynnie po polsku, wyróżniali się wielką dyscypliną i przyjemnym stosunkiem do swoich zwierzchników. Spotkania takie trzeba powtarzać.

Kazimierz F. Vincenz

* * *

APEL O POMOC DLA CHORYCH!

Komisja Koordynacji Opieki Społecznej organizuje dorocznym zwyczajem akcję paczek gwiazdkowych dla chorych Polaków, przebywających w czasie świąt Bożego Narodzenia w szpitalach w W. Brytanii oraz osób w podeszłym wieku, żyjących na obczyźnie w samotności.

Fundusze na zrealizowanie akcji gwiazdkowej i opieki nad chorymi pochodzą częściowo od organizacji społecznych, a częściowo z ofiarności publicznej. W związku z tym komisja w czasie od 15 listopada do 15 grudnia br. przeprowadza zbiórke, apelując o składanie ofiar bezpośrednio do Komisji, bądź na listy, które rozsyłamy zarówno do organizacji i instytucji, jak i do poszczególnych osób.

Ofiary przekazywać można czekiem przekreślonym wystawionym na: WELFARE COORDINATION COMMITTEE lub (P.O. wystawionym w ten sposób, bądź gotówką (w liście polecenym) na adres:

WELFARE
COORDINATION COMMITTEE
55, Princes Gate
London, S.W.7.
Paweł Hęciak
PREZES
ZJEDNOCZENIA POLSKIEGO

Ks. M. Walczak
WICEPRZEWODNICZĄCY
KOMISJI K.O.S.

Anna Januszajtis
SEKRETARZ
KOMISJI K. O. S.

* * *

GRENADIERZY I KOMANDOSI W EDYNBURGU

W dniach 23 i 24 września br. odbył się w Edynburgu doroczny zjazd koleżeński 2 Baonu Grenadierów „Kratkowanych Lwiątek“. Tegoroczny zjazd był wyjątkowo licznie obsesany i miał szczególne znaczenie, gdyż w czasie niego nastąpiła fuzja Grenadierów z Kołem Komandosów.

Fuzja ta jest zrozumiała, ponieważ 1-sza Samodzielna Kompania Komandosów została sformowana z ochotników pochodzących przeważnie z 2 Baonu Grenadierów i długi czas należała ewidencyjnie do tego batalionu. Usamodzieliła się całkowicie, gdy rozwinęła się w Batalion Komandosów, którym dowodził dotychczasowy dowódca kompanii, mjr. Władysław Smrokowski, zmarły niedawno w Ameryce. Kompania Komandosów odznaczyła się w walkach II Korpusu we Włoszech, między innymi w akcji na Ankonie, gdzie pierwsza wdarła się do miasta.

Na zjazd Grenadierów i Komandosów do Edynburga przybyli: gen. K. Głabisz, płk. dypl. J. Leśniak, płk. S. Chaszczyński i płk. Bielecki.

Zjazd rozpoczął się od walnych zebrania obu Kół, na których powzięto decyzję o połączeniu się w jedną wspólną organizację. Wspólne zebranie wybrało nowe władze na dwa lata, w składzie:

(Dokończenie obok)

SCHRONIENIE DZIECI UCHODźCÓW

Dnia 18 października Zjednoczenie Polek zorganizowało w sali Ogniska Polskiego wieczór poświęcony działalności „OCKENDON VENTURE” Stowarzyszenia, którego celem jest niesienie opieki dzieciom uchodźców różnych krajów i ras.

Nazwa „Ockenden Venture” jest bardziej znana wśród Anglików niż Polaków i nie wszyscy z nas wiedzą, że z blisko 700 dzieci, które wychowywały się w W. Brytanii w domach Ockenden, unikając nędzy, wykołowania, a czasem przejęcia przez sierocińce niemieckie, około 80% stanowiły dzieci polskie.

O powstaniu Stowarzyszenia słucha się trochę jak rozdziału z powieści. W roku 1951-ym Miss Joyce Pearce, zamożna, samotna Angielka, słysząc o nędzy uchodźców wojennych i ich dzieci w Niemczech, zaprasza na wakacje letnie siedemnaścioro dzieci z Niemiec. Dziwnym zrządzeniem losu osoba, która po wakacjach ma odwiedzić dzieci spowrotem do ich rodzin, rozchorowuje się nagle i zawiadamia, że eskortować ich na razie nie może.

To sprawia, że Miss Pearce odwozi je sama. Nędza, którą tam widzi, potworne warunki życia dipisów wstrząsają nią tak bardzo, że tego jeszcze roku zaprasza pięcioro najbiedniejszych dzieci na naukę do Anglii. Ale na tym nie koniec. Miss Pearce stara się zjednać innych dla swej idei, niesienia pomocy dzieciom uchodźców. Pod jej wpływem powstają koła przyjaciół Ockenden Venture. Te koła, zarówno jak pojedyncze osoby, a także stowarzyszenia, szkoły, grupy pra-

cujących w jednej instytucji osób, zaofiarowują się zaadoptować dziecko iłożyć na jego pobyt w Anglii i wykształcenie. To umożliwiła rozszerzenie działalności na dziesiątki, a potem setki potrzebujących. W roku 1955 Ockenden zostaje zarejestrowane oficjalnie jako instytucja charytatywna.

Oto garść informacji, bez których nie sposób byłoby zrozumieć znaczenie wieczoru poświęconego dziejom Ockenden Venture w Ognisku.

Na wieczorze tym, zagajonym przez p. E. Zamoyską, Miss Pearce opowiedziała nam o Ockenden, jego celach i działalności, a stały współpracownik stowarzyszenia, p. Tadeusz Melka, uzupełnił podane przez nią wiadomości informacjami o dzieciach polskich. Na kolorowym filmie, pokazanym nam następnie, mogliśmy oglądać dzieci, ich zabawy, ich domy i pokoje młodszych wychowanków pełne zabawek.

Każde z tych dzieci ma smutną i tragiczną historię za sobą. Pan Melka wymienił dzieci wydobyte z niemieckich domów sierot, dzieci porzucone przez matki, dzieci ciężko chorych — ofiar wojny i hiterowskiego terroru. Tutaj otrzymują one dostatni dom, opiekę, szkołę i możliwości dalszego kształcenia. Troje wychowanków Ockenden ukończyło już studia wyższe, dwie panienki studiują obecnie na uniwersytetach, dwadzieścioro kilkoro młodzieży uczy się w szkołach średnich. Dziesiątki zdobyło wykształcenie średnie i pracuje w różnych zawodach. Ockenden opiekuje się w dalszym ciągu wychowankami, którzy rozpoczęli już pracę, i dopomaga im w razie potrzeby finansowo w okresie odbywania praktyki zawodowej.

Miss Pearce stara się utrzymać kontakt swych wychowanków z ich rodzinami i każdego wakacji letnich młodzież ma możliwość wyjazdu do swoich. Niestety, tylko połowa ma do kogo wyjechać. Ockenden dba również, aby każde dziecko miało zapewnioną opiekę religijną w obrządku rodziców i możliwość uczenia się języka swych przodków. Wszędzie tam, gdzie można znaleźć nauczyciela, polskie dzieci uczą się polskiego. Niestety, z przykrością należy nadmienić, że są domy, w których lekcji nie ma, bo chętni się nie znaleźli.

Tam, gdzie istnieje możliwość, dzieci uczą się także polskich tańców narodowych, czego dowodem był krakowiak, trojak i kujawiak, ładnie odtąnczone przez wychowanków Ockenden w Ognisku,

w kostiumach darowanych przez p. E. Zamoyską.

Jest w tym coś głęboko wzruszającego, że założycielka Ockenden Venture, Miss Pearce, osoba jeszcze nie stara, o miłej powierzchowności i ujmującym wdzięku, poświęca od lat wszystkie siły i cały swój czas sprawie wychowania dzieci innych narodowości, mówiące obcą jej mową. Kiedy wybrałam się kiedyś do Woking, aby zwiedzić tam trzy domy Ockenden, miałam możliwość być także w jej willi, otoczonej ogrodem, gdzie na niegdyś wypieszczonych trawnikach stoją drewniane baraki, w których mieszczą się biura Ockenden. W willi nie było dnia tego właścicielki, która gdzieś indziej załatwiała sprawy swego stowarzyszenia. Za to zastałam tam w to sobotnie popołudnie starszych wychowanków, rozgoszonych jak u siebie.

Wszyscy zresztą pracownicy Ockenden, zarówno Polacy jak Anglicy, są całkowicie oddani wychowywanym w domach Ockenden dzieciom. Pracują oni za ułamek tej sumy, którą mogliby gdzie indziej zarobić.

W tej chwili Stowarzyszenie przechodzi pewnego rodzaju kryzys. Fundusze roku uchodźczego się wyczerpały, ludzie zapominają coraz bardziej o ofiarach wojny. Ilość domów zmniejszyła się z 16-u do 13-u, ilość dzieci — do 200.

Wieczór w Ognisku jest apelem do Polaków o pomoc. Jest wiele możliwości udzielenia pomocy. Można założyć koło przyjaciół Ockenden i wspólnie umożliwić jednemu dziecku przyjazd do Anglii na naukę, ratując je od nędzy, a często od przejęcia przez sierociniec niemiecki. Można namówić instytucję, w której się pracuje na zaadoptowanie dziecka.

Ockenden potrzebuje przybranych matek („housemothers”) do swych domów. Potrzebuje ludzi, którzy zaofiarowaliby się uczyć raz czy dwa razy w tygodniu języka polskiego czy tańców narodowych.

Odwiedzmy najbliższy dom Ockenden. Zaprośmy wybrane dziecko na week-end lub święta. Wszak wiele z tych dzieci nie ma do kogo pojechać. Dajmy im poczuć, że należą do społeczności polskiej, która się nimi interesuje.

Bliższe informacje o domach i adresy można otrzymać, pisząc po polsku lub angielsku do „Ockenden Venture”, Ockenden, White Rose Lane, Woking, Surrey.

prezes — inż. dr Maciej Zajączkowski, członkowie: M. Blankensztajn, A. Czyński, T. Heinrych, Z. Kaszubski, A. Piotrowicz, S. Radziwoń, Z. Sadowski. Przewodniczący Komisji Rewizyjnej — kpt. A. Skrodzki.

Pierwszy dzień zjazdu zakończyła wspólna kolacja, do której zasiadło 60 osób. Przemawiali: nowy prezes, inż. dr M. Zajączkowski, płk. Leśniak i gen. Głabisz, Kpt. Radziwoń odczytał nadesłane depeche i listy. W drugim dniu, po Mszy św. za poległych grenadierów i komandosów, odprawionej w kościele polskim przez ks. proboszcza B. Szuberlaka, odbył się wspólny obiad żołnierski, w czasie którego przemawiali: płk. S. Chaszczynski, gen. Głabisz i prezes Zajączkowski. Następny zjazd odbędzie się za dwa lata w Edynburgu.

St. Bl.

PRZEWAŻNIE DLA PAŃ

KOBIETA dzisiejsza jest „wyzwolona“, samodzielna, przedsiębiorcza i często nawet błyskotliwsza od mężczyzny w zawodach, które do niedawna były tylko domeną mężczyzn, o czym zresztą będzie poniżej. Ale — dla współczesnej kobiety pojęcie domu, własnego gniazda jest dalej tak samo ważne, jak ważną była sucha i jasna jaskinia dla jej pra-pra babki. Nic więc dziwnego, że architektura coraz bardziej bierze pod uwagę nie tylko wymogi współczesnego życia, ale także to, jak sobie owo nowoczesne życie, pod własnym dachem wyobraża przede wszystkim — kobieta. Po tej linii myślowej poszedł młody i bardzo zdolny architekt szwajcarski, który projektuje swe rewolucyjne budowle z myślą o zdrowym sensie pani domu — słuchając najczęściej rad własnej żony, która jest także architektem.

DOMEK — JAJKO

Pascal Hauserman, zaledwie trzydziestoletni szwajcarski inżynier ma już za sobą niezły dorobek: siedem prywatnych willi we Francji, ultranowoczesny hotel na Majorce, klub rozrywkowy na Costa Brawa w Hiszpanii i... stację benzynową w Belgii. Ale domki jednorodzinne są jego prawdziwą pasją. Ale jego projekty nie są — jakby się każdy spodziewał — ani kwadratowe, ani prostokątne, a — w kształcie jajka.

Praktyka podobno wykazała, że takie budowle są właśnie najpraktyczniejsze do mieszkania. Hauserman wykończył niedawno kilka takich jajowatych gniazdek rodzinnych, i zwierzył się dziennikarzom, którzy się hurmem zjechali na „odsłonięcie“ pierwszych domów-jajek, że: domki o kształcie owalnym, a więc bez kątów są wygodniejsze, pojemniejsze i tańsze od innych. W pokojach owalnych kurz nie ma się gdzie zbierać. Każdy wie z własnego doświadczenia, iż kurzu na — powiedzmy — lampie w kształcie kuli będzie zawsze o wiele mniej, niż na świeczniku pełnym zagięć i kątów prostych. Poza tym opływowy kształt domu potrzebuje mniej gruntu dla swej podstawy, a więc tym samym

wstępne koszty zakupu parceli przy budowie „jajowatych domków“ będą mniejsze. Jeżeli chodzi o wygodę, to Hauserman umieszcza ogromny, owalny wycinek swojej architektonicznej płaszczyzny w samym środku domu-jajka, przeznaczając go na salon-cum-jadalnię. Taki pokój ma podobno o wiele większe możliwości dla estetycznego i planowego umeblowania, ponieważ nie posiada żadnych źle ustawionych kątów, które są zwykłym marnowaniem przestrzeni.

Wydaje się, że młody Szwajcar doprawdy odkrył „jajko Kolumba“. Jeżeli bowiem położymy jajko na stole, który będziemy uważać za „parcelę“, to podstawa jego będzie oczywiście zajmowała o wiele mniej jego przestrzeni niż jego środek, czyli hausermanowski salon-jadalnia na pierwszym piętrze, a przy wąskich fundamentach takiego domku nawet na małej przestrzeni można założyć piękny ogródek. Żona Szwajcara, pani Claude Hauserman przyczyniła się poważnie do realizacji projektów męża i niejednym projektem wnętrza „domu-jajka“ podobno również zaskakujący jak jego zewnętrzny kształt, jest właśnie jej pomysłem.

IKAR RODZAJU ŻEŃSKIEGO

Jeżeli chodzi o przejmowanie przez kobiety ostatnich dziedzin zawodowych, jakie do niedawna były jeszcze udziałem mężczyzn, przykładem tego jest młoda i bardzo ładna kobieta — pierwszy na świecie zawodowy pilot przemysłowych linii lotniczych. Jest nią, czy raczej „nim“ — pilotem, panna Jacqueline Dubut, rodem z Lyonu. Parę miesięcy temu przyjęła ją do wewnętrzno-francuskiej linii lotniczej Inter-Air, a jej wstępny samodzielny lot wywołał sensację. Odbyła go na dwusilnikowej, turbinowo-śmigłowej maszynie transportowej.

Jacqueline Dubut od dziesięciu lat marzyła o karierze zawodowego pilota. Napotykała jednak na wielkie trudności. Żadna z francuskich państwowych szkół pilotażu nie chciała jej przyjąć na kurs zawodowców. Pierwsze więc kroki na drodze do

upragnionej kariery musiała stawiać na kursach szybowcowych, a potem w amatorskich klubach pilotażu. Ale Jacqueline jest osobą upartą. Zdała konkursowy egzamin do wyższej szkoły inżynierskiej, ukończyła ją z odznaczeniem — po czym poszła pracować do fabryki samolotów. Cały swój wolny czas poświęca na pilotaż amatorski i „zbieranie“ wyłatających w powietrze godzin. Nabierawszy imponującą cyfrę tych godzin, zażądała pozwolenia na złożenie egzaminu na licencję zawodowego pilota. Egzamin ten władze francuskie pozwoliły jej złożyć, zapewne w nadziei, że amatorka-lotniczka go nie zda. Ale tu czekała je niespodzianka. Na stu kolegów mężczyzn, z których wszyscy byli albo byłymi lotnikami, albo absolwentami państwowych szkół pilotażu Jacqueline Dubut okazała się najlepszą i osiągnęła pierwszą lokatę za wiadomości teoretyczne. Egzamin praktyczny zdała równie świetnie i na podstawie tych wyników otrzymała stypendium na dalsze studia aeronautyczne i lotów praktycznych, gdzie znowu okazała się lepszą od swych męskich konkurentów. O jej zawodowej karierze zadecydowała jednak dopiero komisja lekarska, wydając wyrok bez precedensu w annałach zawodowego lotnictwa cywilnego. „Kobieta w pełni zdrowia i siły“ — zawyrokowano — może mieć powierzony sobie transport lotniczy z tym zastrzeżeniem, że ów transport czyli samolot, nie może przekraczać siedmiu ton wagi“. W praktyce oznacza to, że panna Dubut może pilotować fantastycznie szybko „Caravelle“, ale nic od niej cięższego.

Kłopoty dzielnej Jacqueline nie były jednak jeszcze skończone. Bo oto powstał nowy problem: jak ma się ubierać kobieta-zawodowy pilot dostojnej linii lotniczej Inter-Air? W spódniczkę czy w spodnie? Władze linii deliberowały długo i wreszcie wydały wyrok: panna Dubut będzie nosiła takie same ciemno szare spodnie co jej męscy koledzy, taką samą kurtkę, zapinaną na zamek błyskawiczny i identyczną czapkę. Od siebie mogę dodać, że ponieważ na rękawach uniformów Inter-Air naszyte są piękne, złote galony — to przy jasnej cerze panny Dubut i

(Dokończenie obok)

jej długich złotych włosach, które na pewno nieraz się wymkną spod surowej lotniczej czapki — strój pierwszego żeńskiego zawodowego pilota będzie wyglądać nie tylko urzędowo, ale wręcz zalotnie.

NA... WĘZOWO

A oto jeszcze jedna wiadomość z Francji; jest to historia o wiele bardziej „kobieca“, bo sięgająca wstecz, chyba aż do Ewy w Raju.

Paryżanki zaczęły ubierać się na ... węzowo. Od końca czerwca sklepy paryskie zostały wprost zarzucone sandałami, bransoletami, materiałami, kolczykami, paskami do sukien i do zegarków we wzory tych raczej niesympatycznych płazów; (moda ta bardzo powoli zaczyna przenikać i do Londynu. Na Oxford Street oglądałam niedawno w bardzo znanym sklepie materiał w czarnej i czerwonej węże). I tak np. modny paryski bucik zapina się na pyszerek węzowy, drugą część paska stanowi jego ogon.

Jeżeli chodzi o biżuterię, to każda najbardziej chociażby wytarta ze starości babcina bransoletka w kształcie węża — stała się naraz poszukiwanym skarbem. Zapytany o przyczyny nagłej popularności węża jako ozdoby, właściciel znanego antykwariatu na „Rive Gauche“ powiedział: Z kobietami to tak zawsze bywa. Przez dziesiątki lat ten motyw był niemodny, a większość kobiet uważała, że wzory węzowe przynoszą nieszczęście na równi z opalami. I naraz wszystko się zmieniło. Jeżeli dzisiaj znajdę na licytacji węzową broszkę, wisiorek, czy pierścionek, wiem, że dobrze na tym zarobię, bez względu na faktyczną wartość przedmiotu. Prostu panie uznały, że wąż jest symbolem powodzenia“.

Ale, czy to nie przypadkiem film „Cleopatra“ z Elizabeth Taylor w roli tytułowej nie przyczynił się do tej nagłej popularności? Co prawda sama Elisabeth Taylor nie uległa nowej pasji. Gdy zaofiarowano jej do kupna słynną bransoletę Sary Bernhardt w kształcie węża, Elizabeth Taylor spojrzała niechętnie na złote cacko wijące się od przegubu ramienia aż po dłoń i powiedziała: „Nie, za nic nie kupię. Za długo byłam Kleopatram. Nie mogę patrzeć na węzowe ozdoby“.

K.E.

KLARA EVANS

FABRYKA PACHNĄCYCH SNÓW

(Jak żyją Polacy na zachodzie?)

W ciągu dwudziestu lat od zakończenia drugiej wojny światowej przemysł kosmetyczny w świecie zachodnim rozwinął się na olbrzymią skalę i zajmuje dzisiaj w gospodarce niejednego kraju poczesne miejsce. Do największych koncernów kosmetycznych W. Brytanii zaliczyć należy „Gala Cosmetics Limited“, którego jednym z założycieli jest polski inżynier Stanisław Kryształ, rodem z Aleksandrowa-Kujawskiego. Troską i dumą inżyniera Kryształa jest nie tylko przemysłowy rozwój koncernu, ale w nie mniejszej mierze staranie o dobro robotnika. Oto moje wrażenia z wizyty w jednym z zespołów fabryk „Gali“ w podlondyńskiej miejscowości Kingston-upon-Thames.

Wszedłszy do pierwszego budynku na pięknym terenie fabryki „Gala“ początkowo sądziłam, że inż. Kryształ wprowadził mnie do jakiejś prywatnej rezydencji, czy też może oddzielonych od fabryki biur, aby zapoznać mnie na wstępie z danymi produkcji. Okazało się jednak, że przeszłam przez te same oszklone drzwi fabryczne, przez które codziennie rano około tysiąca pracowników i pracownic „Gali“ udaje się do pracy.

Budynki fabryczne, podobnie jak i wejściowy hall, który mienił się w łagodnym słońcu wszystkimi barwami tęczy, filtrowanymi przez olbrzymie nowoczesny witraż — są zbudowane nie tylko nowoczesnie, ale wprost luksusowo: ceramika w połączeniu z drzewem, błyszczące formiki, kafle, kolorowe abażury, nawet makiety produkcyjne — stwarzają atmosferę pogody, ładu i sprawności. Przez olbrzymie okna rozciąga się widok na trawniki, obsadzone różami. Światło dzienne sływa z oszklonego dachu wraz z muzyką z ukrytych w ścianach głośników. Wszystko to stwarza nastrój niemal elegijny. Jakaż to fabryka? — pyta zdumiony przybysz. Może właściwszą nazwą byłoby — laboratorium snów? Niezaspokojonych snów o tworzeniu piękna?

Inżynier Kryształ prowadzi mnie najpierw do laboratorium, które jest mózgiem i sercem fabryki. Stąd bowiem, z pierwszych skromnych reort i kilku busenowskich palników narodziła się pierwsza produkcja „Gali“, tu eksperymentuje się nad obecną i planuje przyszłą.

Inż. Kryształ stoi na czele laboratorium od lat trzydziestu czterech. Obecnie pozostawiwszy już formuły chemiczne w rękach młodszych kolegów — jest dyrektorem technicznym koncernu. Ale, gdy szerokim ruchem ręki, milcząco, ogarnia las próbek i stopy eksperymentalnych próbek — nietrudno się domyśleć, gdzie leżą jego prawdziwe zamiłowania.

Początki „Gala Cosmetics“ datują się z lat trzydziestych. Pierwsza fabryka koncernu nie była przedsięwzięciem angielskim. Została założona w Ameryce na początku XX w. przez emigranta z Europy środkowej, nazwiskiem Picker, który — jak wolno przypuszczać — pochodził z Polski, spod zaboru rosyjskiego. Po założeniu w Stanach Zjednoczonych skromnej fabryczki pudru i szminek, przerzucił się on z czasem na fabrykę filmów do zdjęć roentgenowskich. Zarobił na tym miliony i podczas drugiej wojny światowej mógł złożyć swojej nowej ojczyźnie dar w wysokości miliona dolarów na wysiłek wojenny Stanów Zjednoczonych.

Ale puder i szminki Picker fabrykował dalej, eksportując je także i do Wielkiej Brytanii. W latach trzydziestych jednak obostrzenia gospodarcze nie pozwoliły Pickerowi na dalszy eksport do Anglii. Należało pomyśleć o stworzeniu fabryki na miejscu. I w tym to właśnie czasie zjawił się polski inżynier na londyńskim bruku.

Inż. Kryształ, bardzo młody wówczas człowiek, zabrał się do stworzenia na angielskiej ziemi filii fabryki „Gala“ z ogromnym zapałem. Zapalu jego nie osłabiał fakt, że przemysł kosmetyczny był wówczas jeszcze w

(Dokończenie na str. 38)

powijkach. Inż. Kryształ zaczął swą pracę od tego, aby produkty „Gali“ były nie tylko atrakcyjniejsze w doborze kolorów czy gatunków, ale także i — zdrowsze dla używających je. W tym bowiem czasie, kiedy przemysł kosmetyczny znajdował się w sytuacji przemysłowego kopciuszka, przy braku międzynarodowych konwencji, ustalających składniki nieszkodliwe dla zdrowia — dodawano bez skrupułów ołów do pudru, lub rtęć do kremów. Dzisiaj na piętrze swej jasnej fabryki inżynier Kryształ pokazuje mi olbrzymią makietę, objaśniającą wszystkie fazy fabrykacji słoika odżywczego kremu, czy też puderniczki ze sprasowanym pudrem. Z boku makiety umieszczono formuły chemiczne, które mówią same za siebie: nie tylko preparaty te są nieszkodliwe dla cery i zdrowia, ale — przeciwnie, pomocne dla utrzymania skóry w dobrym stanie.

Ile kolorów pomadek do ust fabrykuje dzisiaj „Gala“? — pytam inż. Kryształ, spoglądając na olbrzymie tace, na których zastygłe różnokolorowe szminki czekają na następną fazę fabrykacji, a zatem wtłoczenia do złotych, biało-złoty lub biało-czarnych gustownych pojemników. — Samych kolorów pomadek do ust wytwarzamy około stu dwudziestu, — odpowiada. — Natomiast wszystkich artykułów kosmetycznych, to znaczy szminek, kremów, pudrów, lakierów do włosów i do paznokci, tuszów do rzęs, farb do cieniowania oczu, ołówków do brwi i tak dalej — wyrabiamy ponad trzysta rodzajów. Oczywiście, nie poprzestajemy na tej cyfrze i ciągle dodajemy nowe wyroby. Niech pani spojrzy: nowość, która wyszła z „mojego“ laboratorium, po którym oprowadzałem panią przed chwilą: farby zastępujące pończochy. Staramy się zawsze uprzedzić pragnienia młodych kobiet, które są naszymi najwierniejszymi nabywczyniami — uśmiecha się inż. Kryształ. — Młode kobiety zainteresowane są obecnie kolorowymi pończochami: niebieskie, żółte, różowe, cyklamenowe, widzi je pani codziennie w sklepach, prawda? A jednocześnie młode kobiety i dziewczęta lubią chodzić w lecie bez pończoch. Wymyśliliśmy zatem malowane pończochy. Jedna tubka kolorowej substancji starczy na kilka razy. Nakłada się farbę równomier-

nie na nogi, zasycha ona szybko i dziewczyna ma już „pończochy“ w odpowiednim kolorze do sukienki, które nie podrażnią i nie skrzywdzą na szwie.

Pończochy takie z pewnością znajdują entuzjastyczne odbiorczynie, opłacając stokrotnie wysiłki inżyniera Kryształ i jego młodych pomocników, aby farba nie schodziła i wyglądała na nodze jak pończocha naturalna. W zasadzie jednak głównym przemysłem „Gali“ są kosmetyki upiększające i odmładzające, rozjaśniające włosy, czy ożywiające bladą cerę. Są to kremy, które zamaskują trądzik, zamkną rozszerzone pory, są to kolory, które zżółklej twarzy nadadzą delikatny poblask. Są to iryzujące pomadki do ust i srebrne lub kolorowe lakiery do paznokci i tusze do rzęs, które dzięki jakiemuś chemicznemu składnikowi wydłużają krótkie czy ubogie rzęsy w długie cienie. Jest to doprawdy fabryka snów. Kobięcych snów o wiecznym pięknie, dla których realizacji pracują całe zastępy nowoczesnych alchemików.

Przechodzimy przez hale, gdzie skomplikowane maszyny wtłaczają do słoików kremy wszelakiego rodzaju: na zmarszczki i piegi, na dzień i na noc. Kremy, jak objaśnia inż. Kryształ, płyną z górnych pięter licznymi kranami prosto do olbrzymich kadzi, pod którymi na obrotowych bębnach stoją puste słoiki, czekające na wypełnienie. Nieco dalej w kotłach pluszcze błękitno-zielona masa o odurzającym zapachu. Są to mleczka do zmywania szminki i płyny do pielęgnacji rąk. Od kadzi do kadzi, od kranu do kranu, przy dźwiękach muzyki na tle jasnych ścian i przestrzennych okien chodzą białe ubrane robotnice, lub robotnicy w lekarskich niemal kitlach. Mieszają, sprawdzają, regulują.

Z laboratorium, którego zadaniem jest tworzenie domieszek perfumujących wyroby „Gali“ bucha istna gama zapachów. Z dołu, ponad stukot maszyn do napełniania słoików i butelek wybija się inny, miarowy dźwięk: „Gala“ wycina swe własne bardzo nieraz pomysłowe pojemniki z plastyku. Z maszyny obsługiwaną

przez młodego, nucącego pod nosem modną melodię robotnika, wypadają jedne po drugich pojemniki we wszystkich kolorach. Złote litery, oraz godło „Gali“: rozkwitła róża — znane są wszystkim kobietom w Wielkiej Brytanii.

Po zwiedzeniu ostatniego budynku fabrycznego, w którym fabrykuje się tylko puder i gdzie schody zasypane są delikatnym pyłem — wracamy na kawę i rozmowę do głównego laboratorium.

— Jakie są warunki pracy robotników Gali? — pytam inż. Kryształ. — Jak długie mają urlopy i z jakich korzystają świadczeń i ułatwień dawanych przez firmę?

— Chyba nie jest im u nas źle — uśmiecha się nasz rodak. — Po trzech latach pracy, każdy robotnik czy robotnica mają trzy tygodnie urlopu. Chorować mogą przez trzy miesiące na pełnym zarobku, po trzech miesiącach — na połowie. Mam oczywiście, na myśli nasz własny system świadczeń, gdyż oprócz tego robotnicy otrzymują przysługujące im świadczenia państwowe. Nasi robotnicy mają własne kluby takie jak: sportowy, towarzyski, albo na przykład „Keep-Fit“, czyli utrzymania się w dobrej fizycznej formie. Dziewczęta pracujące w laboratorium mają wszystkie kosmetyki za darmo — z próbek i materiału doświadczalnego. Robotnicy czy robotnice w innych działach otrzymują nasze wyroby jedynie za opłatą państwowego podatku od sprzedaży, czyli dosłownie za grosze. Stanowimy naprawdę zgraną rodzinę — mówi inż. Kryształ. Wydaje mi się, że praca tutaj jest nie tylko łatwa, ale i przyjemna. Te zapachy, wie pani i te kolory. No i wspólna ambicja nas wszystkich, żeby produkty nasze były naprawdę dobre, ładnie podane, konkurencyjne.

— Fabryka snów — uśmiecham się i zerkam na półki laboratorium z nieukrywanym podziwem; w głowie się wprost nie mieści, że można wymyśleć tyle odmian kosmetyków. Cieszę się, że na czele tej fabryki, którą w myślach nazwałam „fabryką snów“, a która jest warsztatem zadowolonych ludzi, stoi polski inżynier, fanatyk uczciwej chemii, uczciwej pracy i uczciwego stosunku do robotnika.

Klara Evans

**CZYTAJ
POLSKĄ
KSIĄŻKĘ!**

ŚP. WŁADYSŁAW KOWALEWSKI B.D.I.C



Czarną, najczarniejszą farbą drukarską, dwunastopunktową żalobną obwódka fotografii, czcionkami tytułowymi wyraźnymi jak ludzkie przeznaczenie tłoczmy to pożegnanie Władysława Kowalewskiego.

Drukarnia „Gryf“ rozstała się ze swym założycielem, z człowiekiem, który był jej siłą napędową, dla którego w drukarni nie istniały sprawy mniej ważne lub nieważne. Może jeszcze w magazynie leżą ryzy, które dźwigał sam na własnych barkach. Zamknąwszy oczy nie trudno przypomnieć sobie jego postać. Oparty na stole w zecerni, wsparty o maszyny, pochylony nad linotypami. Albo przy gilotynie, krojący papier, ilekroć był pośpiech i trzeba było pomóc. A może wiernych jego pracowników dobiegnie z biura echo jego głosu. To Kowalewski rozmawia przez telefon z klientami, przeplatając żartami konkretne, praktyczne, handlowe słowa perswazji, wymówek lub podziękowań.

W sensie fizycznym nie było go już w biurze, w maszynowni czy w zecerni od pięciu lat. Od pięciu lat nie uwijał się już na swym pracow-

witym „Fordzie“ od londyńskiego „Ogniska“ po „SPK“, od „Tazaba“ do Instytutu Sikorskiego, od Haskoby po introligatornię Szarkowskiego. Przystano go na rynku widzieć, lecz nie zapomniano o nim, tak jak on nie zapomniał o swych klientach, o swych współpracownikach, o tym co drukarnia robi, jakie ma powodzenia i jakie troski. Przykuła go do fotela choroba okrutna tym dodatkowym okrucieństwem jakim jest bezwład ciała dla człowieka tryskającego energią, o żywym i niespokojnym umyśle, bogatego w pomysły i inicjatywę, jeszcze bogatszego w upór i pracowitość, które pomysły zamieniają w dokonania. Lecz ani przez chwilę nie był nieobecny.

„Gryf“ to drukarnia Kowalewskiego. Nie tytuł dyrektorski, nie udział w własności sprawiał, że nazwa drukarni i jego nazwisko były synonimami. I tak pewno pozostanie, nawet teraz, a może zwłaszcza teraz gdy Kowalewskiego zabrakło.

Drukarnia „Gryf“ to było Kowalewskiego dokonanie ostatnie, lecz chyba najdroższe jego sercu. A przeżył przecież wiele w ciągu swego ży-

cia. Od młodości w walee. W sensie dosłownym. Naprzód była to walka z nieprzyjacielem Ojczyzny na polu bitwy i w o ile trudniejszej służbie wywiadowczej. Potem walka z przeciwnościami życiowymi, z ludzką indolencją, z ludzkim nieróbstwem, z nadmiarem ostrożności, często z małostkowością lub ze złą wolą. Wszystko czego się dorobił przed wojną w ukochanej przez niego Warszawie przepadło w dniu wybuchu wojny. A dorobił się wiele, był poważanym przemysłowcem — oczywiście, drukarzem — w kraju, gdzie poważna praca gospodarcza miała w sobie dużo z wysiłku pionierskiego. Lata wojny też nie były lekkie. I wreszcie, w warunkach emigracyjnych pokonując brak środków, trudności wpływające z pracy wśród obcych i nieznanymi warunków, pokonując sceptycyzm jednych, a obojętność innych zaczął tworzyć drukarnię, by dać uczciwy zarobek sobie i swym współpracownikom, a polskiemu życiu kulturalnemu i politycznemu ułatwić pracę wydawniczą.

Bywało źle i bywało dobrze na Battersea Church Road, na londyńskim Zatomizium w na pół zrujnowanych domach i hali fabrycznej. Wszystko co się udało wygospodarować, zaoszczędzić lub zaryzykować przeznaczał Kowalewski w inwestycje. Może ich skala nie była zbyt wielka w porównaniu z tym czego mógłby dokonać w Warszawie, lecz przecież dla nas cośmy pracowali była to skala ogromna. Miarą były dokonania, ilość wykonanych druków, wydanych książek i czasopism.

Tu do drukarskiego i wydawniczego pożegnania dołącza się pożegnanie w imieniu „Orla Białego“. Głównym i bezpośrednim celem założenia drukarni było wydawanie „Orla Białego“, wówczas gdy wojsko polskie, żołnierz polski, któremu „Orzeł“ służył i służy, przeszło nie na emeryturę co prawda, lecz na bezterminowy i oczywiście, bezpłatny urlop. „Orzeł“ był oczkiem w głowie Kowalewskiego. Nie mieszał się do redakcji, lecz zabiegał o to, by

(Dokończenie na str. 40)

redakcja mogła wynik swej pracy pokazać czytelnikom regularnie i w możliwie najlepszej formie graficznej. Miał więcej często wiary i entuzjazmu od redaktorów samych. Dla niego „Orzeł“ był sztandarowym piśmem emigracji żołnierskiej i nie było takiego poświęcenia na które Kowalewski by się nie godził, jeśli wymagało tego dobro „Orla Białego“.

Więc te słowa pożegnania, właśnie na łamach „Orla Białego“ pod-

pisują dziś wszyscy dawni i obecni redaktorzy razem z pracownikami drukarni „Gryf“.

Zegnamy go z żalem, z dumą, że mogliśmy z nim razem pracować, łącząc własny żal z głębokim współczuciem dla jego najbliższych, a przede wszystkim dla wdowy po nim, wiernej towarzyszkii jego życia oraz jego i nas wszystkich pracy.

Paweł Zaremba

Ś. † P.

WŁADYSŁAW KOWALEWSKI

Współzałożyciel i dyrektor drukarni „Gryf Printers“, zmarł po długich i ciężkich cierpieniach dnia 25 października 1967 roku w Londynie i został pochowany na cmentarzu North Sheen.

O nieodżałowanej stracie szlachetnego Polaka, przyjaciela i człowieka wielkich uzdolnień, zawiadamiają

Dyrekcja i pracownicy

Gryf Printers oraz Gryf Publications Ltd.

Ś. † P.

Pułkownik JAN GIEŁGUD

ur. w roku 1890, senior kolonii polskiej w Peru, długoletni prezes samodzielnego koła SPK, odznaczony trzykrotnie Krzyżem Niepodległości, Krzyżem Walecznych i wieloma odznaczeniami zagranicznymi, zmarł 9 listopada 1967 roku w Limie.

Odszedł od nas żołnierz i gorący patriota oddany pracy społecznej na obczyźnie,

Zarząd Federacji Światowej SPK

Książki nadesłane

Karol Popiel: **OD BRZEŚCIA DO POLONII**. Wyd. „Odnova“. Londyn, 1967, str. 328.

Tomasz Staliński: **WIDZIANE Z GÓRY**. Wyd. Instytut Literacki. Paryż, 1967, str. 320.

Jerzy Stypułkowski: **DROGA DO WOJSKA**. Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej. Londyn, 1967, str. 160.

Szymon Konarski: **BOMBERAKI, CACYPUKI i ŁAPIDUCHY**. Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej. Londyn, 1967, str. 160.

Stanisław Sobotkiewicz: **CZARNYM SZLAKIEM**. Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej. Londyn, 1967, str. 318.

Marian Hemar: **AWANTURY W RODZINIE**. Nakładem Fundacji Kulturalnej. Londyn, 1967, str. 398.

Wojciech Wasutyński: **NOWY ŚWIAT**. Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej. Londyn, 1967, str. 159.

Jacques Prévert: **SPACER PICASSA I INNE WIERSZE**. Przełożył Stanisław Baliński. Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1937, str. 32.

NA PROGU DRUGIEGO TYSIĄCLECIA. Skrót obrad konferencji okrągłego stołu zorganizowanej pod powyższym tytułem przez Federację Ruchów Demokratycznych w Londynie 10-11.XII. 1966. Londyn, 1967, str. 86.

NASZA WŁASNOŚĆ — NASZ OBOWIĄZEK. Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny w Londynie. Komunikat Inf. Nr. 8. Londyn, wrzesień 1967, str. 78.

Stefan Mękowski: **REFORMA SZKOLNICTWA w „POLSCIE LUDOWEJ“**. Odbitka z broszury „Szkolnictwo Wyższe i Nauka Polska na Obczyźnie“. Londyn, 1967, str. 20.

ACEN NEWS. Special issue. The 50-th anniversary of the bolshevik revolution: Eastern Europe and Communism. November 1967, str. 76.

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W.11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Oddział Redakcji we FRANCJI: „Syrena“ — 20, rue Legendre, Paris, 17-e. Tel. WAG 0045, Editions ELKA S.A.R.L. c/c p. No. 5507-30 Centre Paris, oraz na pld. Francje — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.);

W BELGII: J. Korab Bzozowska-Csáky, 19, Rue Amédée Lynen, apt. 67, Bruxelles 3, konto poczt. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/1; w NORWEGII: Narvesens Kiosk Komp. POBox 115, Oslo; w SZWAJCARII: Association des Combattants Polonais en Suisse, Biel-Bienne 4, Gurzelen. Case postale 2; w SZWECJI: Polski Kom. Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; we WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTYNI: „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Dakling House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bieńkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Żukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy.

Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.

LISTY DO REDAKCJI (c. d.)

W odpowiedzi otrzymaliśmy potwierdzenie odbioru przesyłki, serdeczne słowa podziękowania i życzenia noworoczne wraz z fotografią okrętu. Załogę ucieszył fakt, iż znalazła się grupa polsko-amerykańska pamiętająca o okręcie stojącym na straży pokoju. Ryngraf i znaczek umieszczone zostały na widocznym miejscu, ksiązkę włączono do biblioteki okrętowej.

W tym roku do naszych życzeń załączamy książki w jęz. angielskim, „Squadron 303“, „Thank you Captain“ A. Fidlera i „A History of Poland“ prof. O. Haleckiego.

Pragnąc aby apel nasz wszedł w zwyczaj i był kontynuowany rok rocznie, zwracamy się do Drogich Rodaków z prośbą by w okresie świąt Bożego Narodzenia pamiętali o Załodze. W ten sposób w krótkim czasie biblioteka okrętowa stałaby się skarbnicą wiedzy o Polsce i sprawach polskich — a upominki zapoczątkowałyby przyszłe muzeum okrętowe.

Korespondencję prosimy adresować:
USS CASIMIR PULASKI (SSBN 633)
Care of Fleet Post Office
New York, New York 09501. U.S.A.
Za Zarząd Oddziału A.K.

Bolesław Szmajdowicz
przewodniczący

* * *

NAWADNIANIE SIEDEM TYS. LAT
PRZED CHR.

Szanowny Panie Redaktorze,

W ciekawym artykule „Drzewiej“ („Orzeł Biały“, Nr 39/1186), p. Jan Pekszyce, pisząc o kolebce HOMO SAPIENS, stwierdza: „Tymczasem na Bliskim Wschodzie w latach 8000—7000 przed Chrystusem... miejsce myślistwa i zbieractwa zaczyna zajmować rolnictwo“.

W roku 1943 przebywałem w Ahwazie, nad Zatoką Perską, w miejscu podobno najgorętszym na świecie. Wykorzystałem okazję i pojechałem zwiedzić pobliską farmę rolną. Właścicielem farmy było Towarzystwo Anglo-Perskie. Oprowadzał nas po niej Polak, agronom, który tam pracował i pokazywał nam jej urządzenia. Między innymi znaleźliśmy się nad urwistym brzegiem dość dużej rzeki, płynącej głębokim korytem. Wody jej były brudne, jakby zmączone mlekiem lub wapnem. Tuż przy brzegu znajdowała się hala maszyn Diesla, które pompowały wodę z rzeki. Woda przechodziła początkowo przez rurę o średnicy około 50 cm. a dalej rozlewała się po rowach i rowkach na szeroka płaszczynę dojrzewającej pszenicy.

Było to nowoczesne nawadnianie uprawnych pól, natomiast ślady starego systemu znajdowały się o paręset metrów od nowoczesnej maszynowni. Było to jakby stare koryto wyschłej rzeki, szerokiej i głębokiej na 3 do 6 m. Tym korytem mieszkańcy rozprowadzali wodę po polach, przed 7—8.000 lat przed Chr. Nie pamiętam już objaśnienia jakim sposobem odbywało się to nawadnianie, ale zdaje się, przy pomocy kieratu z dużym kołem z przymocowanymi na nim czerpakami. Koło

WYJAŚNIAMY I PRZEPRASZAMY!

Po ukazaniu się listopadowego numeru „ORŁA BIAŁEGO“ redakcja nasza znalazła się w krzyżówkowym ogniu ze strony licznych Czytelników. Wskutek wstawienia nie-

właściwej kliszy rozwiązanie krzyżówki nr 598 okazało się niemożliwe.

Powtarzamy wobec tego poprzednią krzyżówkę i zamieszczamy nową, życząc Drogim Czytelnikom przyjemnej rozrywki.

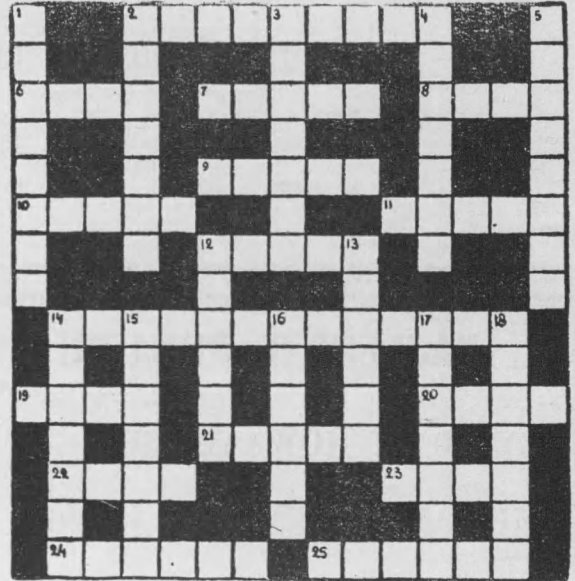
KRZYŻÓWKA Nr 598/67

ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 2) rzecz błaha, nieważna; 6) i 8) latający konkurent?; 7) budowla niezgody?; 9) nie mógł się chyba bez niej obejść Piast; 10) kompozytor francuski. 11) miejsce dawnych zsyłek polskich na Syberii; 12) ryzykant; 14) nie wtedy już nie widzisz w jasnych kolorach? (6, 7); 19) i 20) przysłówowo wierna żona; 21) przyjęcie dla nieobecnego?; 22) część kapusty do poćcalunku?; 23) Skamander Słowackiego; 24) zazdrość a może i więcej (wspak); 25) niedolega, a gdy mały gra.

Pionowe. 1) ni w te, ni wewte?; 2) jasna część koła; 3) uczta dla bogów; 4) nikt go nie oczekuje l.m.n.; 5) lepiej nie można dopasować? (3, 5); 12) w piosence harcerskiej płynie na Ukrainie, w rzeczywistości nie; 13) z

związki chemiczne (wspak); 18) w winnicy była dla wszystkich ta sama.



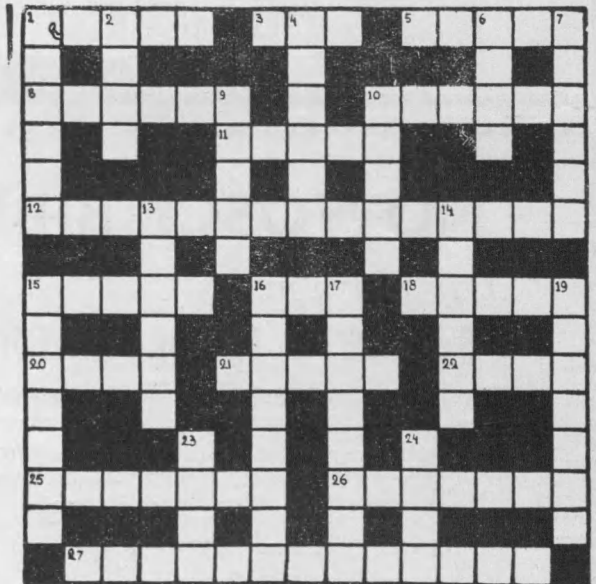
KRZYŻÓWKA Nr 599/67

ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 1) kryjówka duszy w strachu; 3) i 16) ze zbrojowni Zeusa; 5) tajna i nielegalna wiadomość; 8) patron europejskiej wyspy (wspak); 10) gwałtowne skłonności?; 11) roślina lub nasienie, które ukrywa skarby. 12) końcowy wysilek? (8, 7); 15) i 18) pół roku spędzała z mężem w Hadesie, pół z matką na ziemi; 20) i 22) mało z nich pożytku a normalnie się je gromadzi; 21) zabawa; 25) polska Charybda?; 26) w żaden sposób (3, 4); 27) jeden z zamków Kazimierza Wielkiego.

Pionowe: 1) dziedzic baroku. 2) złapał go Wulkan, gdy uwodził jego żonę; 4) loty nad rzeczywistością; 6) czcił je wielki Lizdejko (wspak). 7) można tam je jeść; 9) biedne stworzenie; 10) po nim ciemność; 13) podstawą każdej jest jeden (wspak); 14) nagle; 15) w kartach i w życiu za nią płacisz; 16) najbardziej dziurawe?; 17) temu wszystko

z rąk leci; 19) ciżba (wspak); 23) ogrody (wspak). 24) pełno go w dziecięcych zabawach.



poruszane przez człowieka lub zwierzę wynosiło nabraną przy obrotach wodę na wysokość kilku metrów. Strumień wody musiał być duży i silny, by mógł rozlewać się szeroko i daleko po nawadnianym polu. Sztuka nawadniania na Bliskim

Wschodzie była więc znana już na 7.—8.000 lat przed Chr., a narodziny jej musiały sięgać daleko wcześniej.

Łączę wyrazy poważania

Leopold Gadzina
Slough — Bucks.

WÓDKI I LIKIERY NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI

J. A. BACZEWSKI

Lwów

1782

Wiedeń

Wiśniówka — Krupnik — Starka — Wiśniak
Jarzębiak — Malinowa — Tea Rum — St. Bernhard

Importowane przez:

PODOLIA COMPANY LIMITED

Zamówienia kierować do:

PODOLIA CO. LTD. — 159, Waterloo Street,
Oldham, Lanc's. Tel.: 061 MAI 4626

lub do:

J. A. BRUCE & CO. — 9, Lenthal Place,
London, S.W. 7. Tel.: 373 5808

Żądać wszędzie

Ceny przystępne

KALENDARZYK KOMBATANTA

NIEODZOWNE

ŹRÓDŁO

INFORMACJI

DLA

K A Ź D E G O

CENA 6/6

Do nabycia:

w

KSIĘGARNI S.P.K.

20, Queens Gate Terrace,
London, S.W. 7.

Tel.: 584 3500

NAJLEPSZE PODARKI ŚWIĄTECZNE

Dla przyjaciół:

ZYGMUNT NOWAKOWSKI — Wieczory pod dębem

Cena 42s., przes. 2/6

MINA TOMKIEWICZ — Bomby i myszy

Cena 35s., przes. 2s.

Dla przyjaciół angielskich:

DAVID IRVING — Accident — The Death of

General Sikorski

Cena 45s., przes. 1/6

W. S. KUNICZAK — The Thousand Hour Day

Cena 42s., przes. 4/6

w **KSIĘGARNI S. P. K.**

20, Queens Gate Terrace, London, S.W. 7.

NOWOŚCI BIBLIOTEKI „KULTURY”

ALEKSANDER HERTZ

SZKICE O IDEOLOGIACH

Wracając do Maxa Stirnera — Z perspektywy przeszłości — Ideologia: — Treść i zakres — Weryfikacja — Uwagi marginesowe o przewidywaniu przeszłości — Wiek ideologii — Inteligencja i ideologie — Koniec czy kryzys?

Str. 147. Cena egz. sh. 17/6, F. 12.00, dol. 2.30

WIKTOR SUKIENNICKI

LEGENDA I RZECZYWISTOŚĆ

Wspomnienia i uwagi o 20 latach Uniwersytetu w Wilnie.

Str. 128. Cena egz. sh. 13/6, F. 9.00, dol. 2.00

TOMASZ STALIŃSKI

WIDZIANE Z GÓRY

Pierwsza powieść o Polsce Ludowej, której bohaterami są członkowie Biura Politycznego KC PZPR

Str. 320. Cena egz. sh. 27/6, F. 18.50, dol. 4.00

GALINA SIERIEBRIAKOWA

HURAGAN

Nowy wstrząsający dokument z okresu stalinowskiego.

Przełożył Józef Łobodowski
Wstęp Gustawa Herlinga-Grudzińskiego

Str. 112. Cena egz. sh. 12/6, F. 8.00, dol. 1.75